



***Fiona Harper***



***Szmaragdowy sen***

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ellie ocknęła się z niespokojnego snu. Z trudem skupiła wzrok na wyświetlaczu cyfrowego budzika, który stał przy łóżku. Druga szesnaście, a ona musi iść do łazienki. Była to jej pierwsza noc w obcym domu i nie miała ochoty w ciemności obijać się o meble, lecz uznała, że nie wytrzyma, i postanowiła wstać.

Zamrugła, usiłując zorientować się, gdzie są drzwi. Zielonkawy blask budzika oświetlał jedynie fragment kołdry. Krawędź łóżka wydawała się równie bezpieczna jak krawędź stromego klifu. Ellie, weź się w garść! Dorosła kobieta nie może się bać ciemności. Nawet w wielkim starym domu, który wygląda jak nawiedzony.

Zdecydowanym ruchem odrzuciła kołdrę i postawiła stopy na dywanie. Po chwili chwiejnie ruszyła przed siebie. Oj! Ściana stała bliżej, niż sądziła.

Szkoda, że nie obejrzała dokładniej pokoju, gdy wstawiała tu walizki, ale była tak skonana, że wyjęła tylko kilka drobiazgów i od razu położyła się spać.

Roztarła obolały bark i macając ścianę, ostrożnie ruszyła do drzwi. Staroświecka gałka zazgrzytała w proteście, gdy ostrożnie ją obróciła. Powoli uchyliła drzwi. Dziwnie się czuła, hałasując w obcym domu, mimo iż właściciele byli nieobecni.

Szukała palcami włącznika światła. Gdzie on się podział? Gdy ostrożnie sunęła korytarzem, przez szparę w zasłonach przebił się promień księżyca. Od razu dostrzegła drzwi do łazienki. Nieco szybciej poczłapała boso po zimnej drewnianej podłodze.

Z ulgą wpadła do środka i zapaliła światło. Gdy po chwili wyszła na korytarz, księżyc znikł za chmurami, a ona znów znalazła się w ciemności. Co za idiotyzm, przecież musi sobie jakoś poradzić!

- Okej - szepnęła - mój pokój jest trzeci po lewej... chyba. - Trzeba odszukać odpowiednie drzwi i za moment znajdzie się w miłym ciepłym łóżku.

Na palcach sunęła tuż przy ścianie. Jedne drzwi, drugie... Jej puls przyspieszył i szła coraz szybciej. Trzecie...

Otworzyła drzwi i jednym skokiem znalazła się przy zbawczym łóżku. Od dziecka żywiła irracjonalny lęk, że tajemniczy duch spod łóżka chwyci ją za kostki, więc wypracowała sobie szczególny manewr, który postanowiła teraz zastosować.

Duży błąd. Potknęła się o leżący but i wpadła na ścianę... czegoś.

Było to ciepłe. I oddychało. Do domu włamał się złodziej albo wymachujący siekierą szaleniec!

Jej umysł się zawiesił, niezdolny przetworzyć informacji. Na szczęście zadziałał instynkt ucieczki. Zdażyła się cofnąć o dwa kroki, gdy duża ręka chwyciła ją za przegub. Ellie zamarła ze strachu, po czym niewiele myśląc, rzuciła się na napastnika i wbiła mu nasadę dłoni pod brodę. Stęknął i cofnął się chwiejnie.

Pomyślała, że ukończenie kursu samoobrony było jednak świetnym pomysłem. Zdziwiło ją wprawdzie, że włamywacz jest nagi do pasa, ale nie zdażyła się nad tym zastanowić, gdyż złapał ją za rękę i pociągnął za sobą.

Miał nad nią przewagę, bo na pewno był wyższy i dobrze umięśniony. Upadając wraz z nią, przygniótł jej nogi. Zaczęła się wyrywać, żałując, że zamiast uważać na kursie, zajmowała się plotkowaniem z koleżankami.

Mężczyzna nie zamierzał jej wypuścić. Szybkim ruchem powalił ją na plecy, ścisnął kolanami jej uda i przytrzymał mocno nadgarstki, wbijając je w szorstki wełniany dywan. Ellie sapnęła ze złością. Wiła się pod nim, ale równie dobrze mogła się starać przesunąć blok granitu. W końcu znieruchomiała, napinając mięśnie. Czuła na szyi miętowy zapach pasty do zębów. W jej sercu rosła panika.

Zaświtało jej, że założenie, iż napastnik jest włamywaczem, mogło być zbyt optymistyczne. Niewykluczone, że sprawy przybiorą gorszy obrót.

Musi działać natychmiast, zanim facet wykona następny ruch. Instynktownie wbiła zęby w skórę jego ramienia. Gdy zawył z bólu, natężyła mięśnie i popchnęła go w lewo, aby stracił równowagę, po czym od razu pociągnęła go w drugą stronę. Zamierzała strącić go z siebie i uciec.

Jej plan nie był bezbłędny. Zdołała wprawdzie wydostać się spod niego, lecz gdy usiłowała odpełznąć, złapał ją za stopę i pociągnął. Ellie starała się zaprzeć i przytrzymać dywanu, ale w palcach zostały jej tylko strzępy wełny. Uświadomiła sobie, że napastnik bez wysiłku ciągnie ją z powrotem w kierunku łóżka.

Jak on śmie? W przypiływie gniewu zaczęła przeraźliwie wrzeszczeć.

- Wynocha z mojej sypialni! Bo inaczej...

- Co?

Facet także był zły, ale w jego głosie było też jakby zdziwienie. Rozległo się pstryknięcie włącznika i pokój zalało jaskrawe światło. Oślepiąca Ellie usiłowała się zorientować, gdzie są drzwi. Gdy jej wzrok się przystosował, na tle bladoniebieskiej ściany ujrzała wysoką postać. To dziwne, przecież ściany w jej sypialni miały żółtawy kolor...

Zerknęła na napastnika spod na wpół przymkniętych powiek. Wpatrywała się w nią para ciemnobrązowych oczu. Było w nich coś... Czyżby śniły jej się na moment przez obudzeniem? Nie umiała sobie tego przypomnieć.

Serce waliło jej jak młotem. Widziała już wcześniej te oczy, ale nie we śnie. Śmiały się wtedy do niej i mrugały... Wydała z siebie cichy jęk, gdy wreszcie odzyskała pamięć. Pozbierała się z podłogi i wstała.

- Bardzo przepraszam! Zgubiłam się po ciemku... - Zerknęła na niego, ale nadal miał zdziwioną minę i nic nie rozumiał. - Myślałam, że pan jest złodziejem... albo szaleńcem.

Zmarszczył czoło. Domyśliła się, że żywił w stosunku do niej podobne podejrzenia.

- Panie Wilder, ja...

- Wiem, jak się nazywam. Ale kim pani jest, jak rany?

Oblizwała wargi i parokrotnie odchrząknęła.

- Nazywam się Ellie Bond, jestem pana nową gosposią.

### *Miesiąc wcześniej*

Ellie zastygła w miejscu, gdy przestąpiła próg kawiarni. Kobieta w czerwonym płaszczu przyszała wcześniej i siedziała już przy stoliku, czytając gazetę. Po kilku sekundach automatyczne drzwi się zamknęły, uderzając Ellie w pośladki. Nawet nie drgnęła, czując się tak, jakby połknęła wiaderko kostek lodu.

Długie ciemne włosy kobiety niemal dotykały blatu. Gdy założyła pasmo za ucho, odwracając stronę, zalśniły grube srebrne kolczyki. Prezent urodzinowy od Ellie.

Kobieta jeszcze jej nie dostrzegła, z czego Ellie była zadowolona. Wpatrzyła się w nią uważniej. Gdyby stała tak dłużej, być może przypomniałaby sobie wszystko.

Czytany artykuł musiał kobietę zaniepokoić, bo zeszywniała, a choć głowę miała pochyloną, Ellie wiedziała, że tuż nad garbkiem nosa pojawiły się trzy pionowe linie. Tak się działo zawsze, gdy marszczyła brwi. Gdy ludzie przyjaźnią się ze sobą ponad dekadę, wiedzą takie rzeczy o sobie. Mózg kolekcjonuje fragmenty wspomnień, wrażeń, zapachów i dźwięków, które można w dowolnej chwili przywołać. Tak właśnie postąpiła teraz Ellie; w jej pamięci pojawiły się obrazy nieporządku w pokoju w akademiku, zapach książek i kurzu w bibliotece, chichoty przed pójściem spać.

To jedynie pogorszyło sytuację. Ellie nie pamiętała, jak kobieta ma na imię. Od dnia wypadku znalezienie właściwego imienia przypominało szukanie w mroku. Wiedziała, że jej mózg przechowuje tę informację, ale grzebała w nim po omacku, nie będąc pewna, czego szuka, i mając nadzieję, że rozpozna imię, gdy się na nie natknie.

Nadejście kelnerki oderwało kobietę od gazety na tyle, by kątem oka dostrzegła Ellie. Podniosła z uśmiechem głowę. Ellie pomachała do niej, powtarzając jednocześnie w pamięci litery alfabetu, tak jak nauczono ją na terapii. Anna? Alice? Amy?

Kobieta wstała rozpromieniona, nie pozostało więc nic innego, jak do niej podejść.

Belinda? Nie. Brenda?

Przyjaciółka objęła ją serdecznie. Ellie stała przez moment jak szmaciana lalka, po czym nakazała mięśniom ramion oddać uścisk, nie przestając recytować w pamięci: Christine... Caroline... Carly? Carly. Chyba tak, a zarazem chyba nie.

- Jak miło cię widzieć, Ellie! - rzekła przyjaciółka.

Ellie wiedziała, że kobieta zrozumie, jeśli przyzna się do zaniku pamięci, ale miała już dość „rozumienia”. Chciała żyć normalnie, bez współczujących spojrzeń. Przede wszystkim dlatego umówiła się na to spotkanie. Wtem odniosła dobrze znane wrażenie. Można by je opisać w ten sposób, że cząstki jej pamięci były jak boje przykute łańcuchami do dna ciemnego oceanu, i nagle jedna z nich się uwalniała, wypływając z pluską na powierzchnię.

Charlotte Maxwell.

- Cześć, Charlie - zawołała z ożywieniem. - Ja też się cieszę, że cię widzę.

Mimo iż starała się stłumić głębokie westchnienie, nieszczęśliwie jej się to udało. Charlie obserwowała ją z troską.

- Jak się czujesz?

Niewinne pytanie. Serdeczne i miłe. Ellie zdążyła je znienawidzić. Ludzie ciągle ją o to pytali, najczęściej z zaniepokojeniem. Nie była to zwykła pogawędka. Zadając to pytanie, pragnęli usłyszeć pełen raport medyczny.

- Dobrze. Naprawdę. - Uśmiechała się przez zaciśnięte wargi.

- Wciąż masz te bóle głowy?

- Tylko czasami - odparła, wzruszając ramionami.

Charlie cofnęła się o krok i zmierzyła Ellie wzrokiem.

- Ostrzygłaś włosy.

Ellie automatycznie dotknęła ręką krótkich jasnych loków. Obcięła ciężkie, sięgające połowy pleców włosy zaledwie kilka dni temu i jeszcze nie zdążyła się do nich przyzwycząić. Teraz końce włosów muskały jej barki. Z nową fryzurą łatwiej się było obchodzić i wyglądała w niej młodziej.

- Chciałam jakiejś zmiany.

Po to się tu znalazła. Równie dobrze mogła od razu zadać Charlie pytanie, które od rana miała przygotowane. Jeśli tego nie zrobi, okaże się później, że o tym zapomniała. Otworzyła usta, ale Charlie była szybsza.

- Nie wiem, jak ty, ale ja potrzebuję natychmiast kofeiny i kilka świeżych babeczek - oznajmiła.

- Ja też chętnie napiję się... - Ellie zerknęła na bar.

Ojej, jakie to słowo? Miała je na końcu języka, ale umknęło jak sen tuż po obudzeniu.

- No wiesz, ten napój z mleczną pianką, posypaną brązowym proszkiem...

- Prosimy dwa razy cappuccino - zwróciła się do baristy Charlie, nawet nie mru-gnąwszy powieką.

- I czekoladową babeczkę - dodała Ellie.

- Dwie - poprosiła Charlie, posyłając Ellie porozumiewawczy uśmiech. - To rozumiem. Czekolady nie zapomnisz, nawet choćbyś chciała.

Gdyby powiedziała to jej matka lub siostra, Ellie by je ofuknęła, ale teraz tylko się roześmiała. Ostatnio bywa chyba przewrażliwiona. Nic dziwnego, że ma kłopoty z pamięcią. Zdarzało się to zawsze, gdy była spięta lub zestresowana. Charlie wyraźniej nie przejmowała się przypadłością Ellie, która nabrała dzięki temu pewności siebie. Poprosi ją. Była gotowa. Zdobyła się jednak na odwagę dopiero przy drugim cappuccino.

- Potrzebuję pracy.

Charlie zastygła i patrzyła na nią ze zdumieniem, po czym opuściła wzrok i starannie złożyła gazetę.

- Przykro mi, Ellie, ale nie mam w firmie wolnego stanowiska.

Nie odpuści. Była zdesperowana.

- Chciałabym, żebyś mnie umieściła w swoim rejestrze. Zależy mi na pracy z zakwaterowaniem. Muszę na pewien czas wyjechać z Barkleigh. Z pewnością coś dla mnie znajdziesz. Wiesz, że świetnie gotuję.

Charlie nieźle zarabiała, prowadząc niewielką, acz ekskluzywną agencję pośrednictwa pracy dla szoferów, kamerdynerów, kucharzy oraz niań.

Na jej twarzy odbiło się wahanie. Ellie wiedziała, w czym rzecz. Przyjaciółka nie była pewna, czy poradzi sobie z pracą na pełny etat. Problem w tym, że ona sama nie miała co do tego pewności. Skutkiem poważnej rany głowy były kłopoty z pamięcią i koncentracją, ale pomysł porzucenia utartych kolein i rozpoczęcia czegoś nowego napałwał ją entuzjazmem.

- Jestem pewna, że dam radę. Potrzebuję tylko, żeby ktoś we mnie uwierzył i dał mi szansę. Obiecałaś, że mi pomożesz.

Nie było to ładne zagranie, ale Ellie była zdesperowana. Wahanie nie znikło z twarzy Charlie, pionowe zmarszczki na czole jeszcze się pogłębiły. W końcu jej twarz się rozjaśniła.

- Może będę miała coś dla ciebie. Dam ci znać.

Dzień nie układał się dobrze. Zgubione klucze, walizka, która nie chciała się domknąć... Gdyby Ellie wierzyła w złe znaki, najchętniej schowałaby się pod kołdrę. Lecz ta, świeżo uprana, czekała już na innego właściciela, a reszta jej dobytku została spakowana w walizki i pudła. Dom był gotowy do wynajęcia.

Po raz ostatni zajrzała do holu przez matowe szybki w drzwiach. Przedtem walały się tam sterty butów, na wieszakach widziała byle jak rzucone kurtki. Teraz był zimny i pusty. Wzdrygnęła się i chwyciwszy ostatnią walizkę, ruszyła do auta. Nadciągały deszczowe chmury, niebawem się rozpada. Ledwie zdążyła wskoczyć do środka, gdy o dach zabębniły pierwsze krople ulewy.

Z rzuconej na fotel pasażera torebki wystawał zniszczony łebek pluszowego misia z jednym okiem. Zapieкло ją pod powiekami, lecz zdusiła łzy. Zmusiła się, by usiąść prosto, i zapatrzyła na rozmyty szary krajobraz za szybą. Po chwili przekreśliła kluczyk w stacyjce. Silnik kaszlnął i zgasł. Poglaskała deskę rozdzielczą, błagając w duchu, by silnik zapalił. W końcu się udało. Ruszyła powoli, nie rzucając za siebie ani jednego spojrzenia, i wkrótce wyjechała na autostradę.

Jadąc z umiarkowaną prędkością, rozmyślała o swoim życiu. Kiedy po wypadku wyszła ze szpitala, wszyscy byli tacy szczęśliwi, spodziewając się, że wkrótce „powróci do normalności”. Po roku wyprowadziła się od rodziców z powrotem do własnego domu, a oni odetchnęli z ulgą. Ellie ma się lepiej i można przestać się o nią martwić.

Lecz Ellie wcale się lepiej nie miała. Owszem, odrosły jej włosy, przykrywając blizny na czaszce, chodziła i rozmawiała, ale pod maską „normalności” była całkowicie inną osobą.

Skupiła wzrok na kropłach deszczu na szybie. Woda. Tym właśnie były. Jak coś tak zwyczajnego może tak drastycznie zmienić życie trzech osób? Szybko włączyła wycieraczki.

Na szczęście deszcz wkrótce ustał i chmury się przerzedziły. Ellie rozluźniła mięśnie. Uświadomiła sobie, że jechała napięta od chwili postawienia stopy na pedale gazu. Zwolniła uchwyt rąk na kierownicy i poruszyła zeszywniałymi palcami.

Jadąca przed nią furgonetka niemal stanęła. Musiała ją wyminąć. Szosa była prawie pusta, mimo to pięć minut zajęło jej przekonanie siebie do tego manewru.

Jechała prawym pasem, powtarzając w myśli numer węzła, na którym miała zjechać, gdy wtem usłyszała za sobą wściekłe trąbienie. Auto za nią dotykało niemal jej zderzaka. Drżącą ręką chciała włączyć kierunkowskaz, ale zamiast niego zapaliła światła



przeciwnie. Walcząc o opanowanie, zjechała z drogi czerwonego porsche, które wyminęło ją z rykiem silnika.

Co za żalosny głupek, pomyślała. Najchętniej trzymała się z dala od takich osobników, na szosie i w życiu. Postanowiła napić się kawy na najbliższej stacji.

Siedząc z kubkiem gorącego napoju, myślała o tym, że szalony kierowca tak ją przestraszył, iż mimo woli przypomniała sobie wypadek, który starała się wyprzeć z pamięci. Gdy wyjmowali ją z wraku kombi, była nieprzytomna. Ciało męża i córeczki leżały ponoć na ziemi. Nie pamiętała pierwszych dni pobytu w szpitalu. Lekarze powiedzieli jej, że to normalne - amnezja po przebytej traumie. Gdy wracała myślami do tamtych chwil, spowijała je nieprzenikniona chmura.

Czasem myślała, że lepiej było z niej nie wychodzić, gdyż moment, gdy dowiedziała się, że jej ukochany Sam i uwielbiana ośmioletnia Chloe odeszli na zawsze, był najgorszy w jej dotychczasowym życiu. Wszystko przez deszcz. I przez to, że dwaj lekkomyślni chłopcy w szybkim aucie nie chcieli zwolnić i popsuć sobie zabawy.

Kubek był pusty, nie pamiętała, kiedy wypła kawę. Musiała się zbierać. Nie wolno jej się poddać.

Dalej, Ellie, dasz radę. Nie chcesz przecież wrócić do pustego domu i pogrzebać się tam za życia.

Wstała, zarzuciła torebkę na ramię i ruszyła do auta.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Nowe miejsce pracy ją zaskoczyło. Grubym rybom, do których zaliczał się jej nowy pracodawca, zazwyczaj zależało na ogłoszeniu całemu światu, że są bogaci i wpływowi. Tu natomiast, na końcu długiego zwirowego podjazdu, stała niewielka XVI-wieczna rezydencja, otoczona dębami i krzewami rododendronów. Promienie zachodzącego słońca złociły czerwone oplecione bluszczem cegły, po deszczu oszałamiająco pachniała lawenda.

Po raz pierwszy od dawna nie czuła rozpaczy ani strachu. W Larkford Place było pięknie i cicho. Poczwała przyływ ożywczej nadziei, uczucia, które tak długo było jej obce. Podjazd rozszerzał się półkoliście przed domem, ona zaś skręciła w boczną drogę do wejścia dla dostawców. Po chwili stanęła na wyłożonym kamieniem dziedzińcu i wysiadła, przeciągając się z rozkoszą.

Bluszcz niemal całkiem zarastał tylne drzwi. Wsunęła w stary żelazny zamek klucz, który dostała od poprzedniej gosposi, pchnęła ciężkie dębowe drzwi i zajrzała do ciemnej sieni.

Miała uczucie, że gdy przekroczy próg, inne drogi pozostaną przed nią na zawsze już zamknięte i nie będzie miała powrotu. Wszak tego właśnie chciała, prawda? Iść na przód, zostawiając przeszłość daleko za sobą?

Zdecydowanym krokiem pomaszzerowała po kamiennej posadzce i po chwili znalazła się w jasnej obszernej kuchni z pięknym widokiem na ogród. To miało być odtąd jej królestwo. Dom był świeżo odnowiony, sprzęty kuchenne nowoczesne, prosto z katalogu. Nawet pachniały nowością.

Na półce stały rzędem kolorowe książki kucharskie. Przejrzała je z ciekawością.

Miała tydzień na zapoznanie się z domem, nim jego właściciel wróci z podróży za granicę. Na razie potrzebowała odpoczynku. Odszukała czajnik i herbatę, odkryła nawet paczkę czekoladowych ciastek. Czekać, aż woda się zagotuje, rozglądała się dalej po kuchni. Z boku przy szafce wisiał mały płaski telewizor. Ucieszyła się z jego towarzysztwa w obcym pustym domu.

Zaparzyła herbatę i przysiadła na wysokim stołku przy barze śniadaniowym z książką kucharską przed sobą. Co ugotować panu Grubej Rybie pierwszego wieczoru? Coś, co go rzuci na kolana i sprawi, że zechce ją zatrudnić na stałe, gdy skończy się trzy-miesięczny okres próbny.

Chyba nie dostałaby tej pracy, gdyby nie mogła jej zacząć od zaraz, a facet nie był kuzynem Charlie. Był znaną postacią w przemyśle muzycznym. Mgliście przypominała sobie jego nazwisko.

Jej wzrok padł na zdjęcie spaghetti z kałamarnicą. Wyglądało spektakularnie. Już z góry cieszyła ją perspektywa gotowania. Zawsze to lubiła, chodziła nawet na krótki kurs przed urodzeniem Chloe. Amnezja nie dotyczyła na szczęście jej umiejętności kucharskich. Być może odpowiadała za nią inna część mózgu, która nie doznała szwanku w wypadku.

Znów miała uczucie, że świat oddala się od niej, a ona zostaje sama w dźwięczącej echem próżni. Automatycznie wzięła w palce medalion i starała się skupić na barwnych zdjęciach potraw. Zamrugła oczami i z wolna wszystko wróciło do normy.

Zerknęła na ekran telewizora. Teleturniej się skończył, a teraz transmitowano na żywo ceremonię z branży show biznesu. Jej uwagę przyciągnął mężczyzna kroczący po czerwonym dywanie. „Mark Wilder”, przeczytała na pasku w dole ekranu. Jej nowy szef.

Pojęła od razu, dlaczego Ginny tak jej zazdrościła. Był szalenie przystojny, ciemnowłosy i opalony, a do tego prezentował olśniewająco biały uśmiech. Oczywiście śnieżnobiałe uzębienie nie świadczy o wartości człowieka ani nie gwarantuje udanego związku. Ellie znacznie bardziej interesowała osobowość mężczyzny niż jego wygląd.

Uważniej przyjrzała się Markowi Wilderowi. Był w podobnym wieku co ona, trzydziestokilkulatek, chyba że świetnie się starzał. Kim jest pod gorsem białej koszuli i szytym na miarę garniturem? Jak będzie się dla niego pracowało? Gdy Charlie zadzwoniła do niej z ofertą, ucieszyło ją głównie to, że plan się powiódł; nie poświęciła przyszłemu pracodawcy ani jednej myśli.

Obok Wildera pojawiła się młoda kobieta o imponującym biuście, ubrana w strój, który po rozciągnięciu się w praniu mógłby zostać uznany za sukienkę. Ellie westchnęła. Już wiedziała, do jakiego rodzaju mężczyzn należy Mark. Co za rozczarowanie.

Stojąca za barierką reporterka w wydekoltowanej sukni rzuciła się w kierunku Marka. Ellie wiedziała, że cieszy się opinią osoby zadającej niewygodne dla celebrytów pytania, więc nastawiła uszu. Mark podszedł do niej swobodnym krokiem. Śledziło go z tłumem kilkaset par kobiecych oczu poza jego przyjaciółką, patrzącą prosto w oko kamery. Widać było, że reporterka, mimo doświadczenia, także jest poruszona. Zarumieniona, ochryplym głosem zadała pierwsze pytanie.

- Czy jest pan pewien, że pańska nowa podopieczna Kat de Souza odbierze dziś wieczorem nagrodę za najlepszy debiut?

Pokaż mi, że się mylę, zachęciła go w duchu Ellie. Bądź skromny i uroczy.

Mark Wilder uśmiechnął się jeszcze promiennie. Reporterka sprawiała wrażenie, że roztopi się u jego stóp w kałużę hormonów.

- Pokładam w Kat wielkie nadzieje - odrzekł ciepłym głosem. - Staralem się jej pomagać.

Reporterka była całkowicie pod jego urokiem, wiła się i chichotała. Mark Wilder subtelnie z nią flirtował, ściągając na oboje powszechną uwagę.

- Jestem pewna, że nie jest to dla pana zaskoczenie, że magazyn „Gloss!” mianował pana najbardziej pożądanym kawalerem tego roku.

- Co takiego? - rzucił Mark Wilder z udawanym zdziwieniem. - Znowu!

No pięknie, pomyślała Ellie. Praca dla Wildera zapowiada się jako poważne wyzwanie. Na szczęście facet ponoć często wyjeżdża i spędza masę czasu na spotkaniach.

- Wobec tego - rzucił już poważnie - niech ktoś się lepiej pośpieszy i wyjdzie za mnie. - Powiódł wzrokiem po zebranym tłumie. - Czy któraś z pań jest może zainteresowana?

Jego słowa wywołały poruszenie. Ellie przyszło na myśl, że tłum chętnych kobiet może sforsować barierki. Reporterka wzięła się w garść i przestała wreszcie chichotać. Przypomniała sobie chyba, że występuje w programie o krajowym zasięgu. Tym razem zadała pytanie chłodnym tonem.

- Czy trudno było panu odbudować karierę po takich... zawirowaniach, zarówno w życiu zawodowym, jak i osobistym?

Na jej twarzy malowała się sympatia, ale oczy były zimne jak lód. Mark Wilder stracił dobry humor.

- Dzięki za dobre życzenia - wycodził, mierząc ją twardym spojrzeniem. - Do widzenia, panno Morgan.

Reporterka dosłownie otworzyła usta. Zastygła i patrzyła za odchodzącym Markiem Wilderem. Kamera pokazała teraz jego atrakcyjną towarzyszkę, która podreptała za nim. Melissa Morgan podjęła natomiast desperackie poszukiwania kolejnej ofiary.

Ellie pokręciła głową i wyłączyła telewizor. Zaczynała się obawiać, że pomysł z pracą u Marka Wildera może się okazać chybiony. Wsunęła książkę kucharską pod ramię i cisnęła do kosza opakowanie po ciastkach. Nie trafiła.

Mark Wilder pokonywał czerwony dywan długimi krokami. Ze wszystkich stron błyskały flesze. Garnitur nie stanowił przed nimi żadnej ochrony, a szkoda.

Nie oparł się pokusie flirtu z tą Morgan, zapomniał jednak, że śliczna główka należy do wysoce inteligentnej reporterki, która nie zawaha się dobrać mu do skóry. Pragnął zwrócić jej uwagę na Kat i nominację do nagrody, ona jednak wolała zahaczyć o jego niechlubną przeszłość. Zerknął przez ramię na kłębiący się za barierkami tłum. Po dywanie kroczyła właśnie wschodząca gwiazda brytyjskiego kina. Powinien się cieszyć każdą chwilą tego wieczoru. Zawsze pragnął takiego życia, o jakim marzyli ludzie siedzący teraz przed telewizorami - czerwone dywany, piękne kobiety, szybkie auta, egzotyczne wyspy, mnóstwo pieniędzy...

Czemu więc się nie cieszy? Usłyszał tuż za sobą stukot obcasów. O rany, Melodie. Wywiad z panną Morgan musiał nim wstrząsnąć bardziej, niż myślał, zapomniał bowiem o swojej towarzyszce. Gdy się z nim zrównała, rycerskim gestem ujął ją pod łokieć.

Agentka Melodie zadzwoniła kilka tygodni temu do jego asystentki z pytaniem, czy nie chciałby się spotkać z jej klientką. Tak wyglądało obecnie życie uczuciowe sławnych i bogatych. Relacje nawiązywano przez osoby trzecie; „moi ludzie zadzwonią do twoich...”.

Zazwyczaj tego nie robił, ale dziś potrzebował partnerki na wieczorną ceremonię, a Melodie miała wszelkie atuty, była młoda i atrakcyjna. Nieważne, że nic do niego nie

czuła, a branżowe plotki głośiły, że znana modelka zamierza rozpocząć karierę muzyczną.

Wszystko było przewidywalne, i bardzo dobrze. Przynajmniej wiedział, czego się spodziewać. Kobiety, z którymi się umawiał, oczekiwały w zamian jakiejś przysługi, układ był całkowicie jasny. Jednego wcześniej się nauczył: kobieta, która mówi o miłości i przywiązaniu, pierwsza zacznie kąsać w najmniej spodziewanym momencie. Świadczyły o tym jego liczne blizny.

Przepuścił Melodie przodem. Miała na sobie srebrzystą suknię bez pleców z głębokim dekoltem, podkreślającą jej świetną figurę. Co dziwne, jego puls nie przyspieszył. Naprawdę był dziś nie w sosie. Może to wynik długiego lotu i zmiany strefy czasu?

Zajęli stolik w pobliżu sceny. Kat już przy nim siedziała razem z obecnym narzeczonym, chyba perkusistą. Po przywitaniu Mark nachylił się do niej.

- Zdenerwowana?

Szybko pokiwała głową.

- Przepraszam, że byłam niemiła przez telefon. - Zadzwoiła do niego z żądaniem, by koniecznie przybył na ceremonię, choć tego nie planował. Nie był jej menedżerem, jak zresztą większości swoich klientów. Zajmował się tylko zarządzaniem, pracą bezpośrednio z gwiazdami zostawiając asystentom. Tym razem zrobił wyjątek dla ledwie siedemnastoletniej, piekielnie zdolnej dziewczyny. Miał nadzieję niezle na niej zarobić. - Dzięki, że przeleciałeś dla mnie ocean.

- Nie ma problemu, cieszę się, że tu jestem. - Mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Jestem ci taka wdzięczna! Sama już nie wiem, czy bardziej boję się wygrać, czy odwrotnie. - Gdy poprawiała włosy, spostrzegł, że ma poobgryzane paznokcie. - Chyba zwariowałam. Bardzo potrzebuję wsparcia...

Jej chłopak pociągnął łyk szampana prosto z flaszki i głośno beknął. Mark Wilder zmienił pozycję, żeby na niego nie patrzeć. Cudownie, Kat. To ci dopiero wsparcie, ten twój gbur. Kolejny dowód, że dziewczyna jest naiwna i niedoświadczona. Jakby na potwierdzenie tej opinii, Kat sięgnęła po kieliszek i zbliżyła go do ust. Mark w ostatniej chwili zdołał ją powstrzymać.

- Nie, młoda damo, jesteś niepełnoletnia.

- Wyluzuj, Mark - warknęła. - Rządzisz moją karierą, nie życiem.

- Masz rację - odrzekł ugodowo. Ostatecznie zależało mu na tej akurat klientce. - Ale mogę doradzić ci coś, co jest w twoim najlepszym interesie. W końcu za to biorę piętnaście procent. - Odstawił kieliszek za wagę dekorującą stół. - Nie chcesz chyba być zawiana, kiedy będziesz odbierała nagrodę. Zauważ, że powiedziałem „kiedy”, a nie „jeśli”.

Wiedział, że wygrał. Spojrzenie Kat złagodniało.

- Woda jest lepsza dla mojego głosu - oznajmiła.

Mark uśmiechnął się pod nosem. Pół roku temu nikt nie słyszał o Kat de Souzie. Mimo młodego wieku miała cudownie dojrzały soulowy głos. Mało tego, sama pisała przepiękne ballady o miłości i śpiewała je, akompaniując sobie na gitarze. Debiutancki singiel w jeden dzień uczynił z niej gwiazdę.

Jego znajomości rzecz jasna trochę pomogły, ale Kat ma niekwestionowany talent. Teraz musi dopilnować, by presja i szaleństwo branży muzycznej jej nie zmarnowały.

Dostrzegł, jak znów obgryza kciuk do krwi. Mimo dojrzałego talentu była w granicę rzeczy przestraszonym podlotkiem. Był rad, że się tu dzisiaj znalazł, ale zmęczenie dawało znać o sobie. Stłumił ziewnięcie.

Zanim Ellie przyrzadziła sobie posiłek, postanowiła obejść cały dom. Był ogromny, z mnóstwem drzwi i korytarzy. Jutro naklei na nie karteczki, żeby się nie pogubić. Będą musiały zniknąć przed przyjazdem szefa, ale pomogą jej poznać domowe ścieżki. Gdy będzie chciała coś ugotować, znajdzie się dzięki nim w kuchni, a nie w składziku na szczotki. Ta technika pomogła jej przypomnieć sobie po wypadku rozkład własnego domu. Żyła w nim prawie dziesięć lat i nie pamiętała, gdzie jest sypialnia.

Wędrując po domu, przekonała się, że jego wnętrze jest równie ładne jak obrośnięte bluszczem mury. Zachowało swój styl. Dzięki Bogu, żadnych nowoczesnych kompozycji ze szkła i stali. Stiuki, rzeźbione kominki, wysokie sufity i wielodzielne okna.

Ziewnęła rozdzierająco pod wpływem ogarniającego ją znużenia. Często czuła się zmęczona, ze względu na stale napiętą uwagę i koncentrację na drobiazgach, które ludzie zdrowi wykonywali automatycznie. Pora obejrzeć mieszkanie gosposi nad pustą stajnią i położyć się spać.

Z bagażami skierowała się do swojego nowego domu. Gdy otworzyła drzwi, uderzył ją odór mokrego dywanu. Z sufitu kapiała woda, tworząc na środku salonu sporą kałużę. Dziś się tu nie prześpi.

Zaciągnęła bagaże do jednego z pokoi gościnnych w głównym domu. Zamówiła wizytę hydraulika i podstawiła pod ciekący sufit kilka wiader, by choć trochę ograniczyć szkody. Ziewała już teraz na potęgę. Wyjęła z walizki niezbędne rzeczy i podreptała do znajdującej się na korytarzu łazienki.

Była pewna, że zaraz zaśnie, ale sen nie nadchodził. Wciąż się niepokoiła, czy opuszczając dom, podjęła właściwą decyzję. A jeśli niewypowiedziane obawy Charlie okażą się uzasadnione? Co będzie, jeżeli nie sprostą zadaniu?

Niemal pogodziła się już z tym, że wskutek wypadku nie tylko straciła wspaniałą rodzinę, lecz także doznała trwałego uszkodzenia mózgu. Nigdy już nie będzie dawną Ellie. Niekiedy czuła się tak, jakby obserwowała z daleka obcą osobę, która zamieszkała w jej ciele.

Zmieniła pozycję i szczelniej okryła się kołdrą. Ta praca była szansą udowodnienia sobie i innym, że może prowadzić normalne życie. Nie chciała więcej objawów współczucia. Musi pokazać, że jest najlepszą gospośią, jaką Mark Wilder mógł sobie wymarzyć.

Ceremonia rozdania nagród ciągnęła się niemiłosiernie. Melodie głównie go irytowała. Piękne, puste w środku opakowanie. Usiłował ją wciągnąć w rozmowę o branży muzycznej, ale nie wykazała zbytniego zainteresowania tematem.

Show był niezły, ale miał wrażenie, że wszystko już widział - młode zespoły, starzy rockmani, kręcące biodrami skąpo odziane dziewczyny. Prawdziwą radość sprawiło mu zwycięstwo Kat w kategorii debiutów. Chyba tylko on jeden zauważył, jak drżały jej ręce, gdy odbierała statuetkę. Potem zaśpiewała swój przebój, akompaniując sobie na gitarze. Nawet najbardziej zblazowani słuchali jej magnetycznego głosu, po czym urządzili jej prawdziwą owację.

Mark ledwo patrzył na oczy ze zmęczenia. Marzył, żeby znaleźć się wreszcie w łóżku... sam. zaproponował, by nieco rozczarowana tym faktem Melodie udała się wraz z Kat i jej chłopakiem na przyjęcie po ceremonii, na co trochę się rozchmurzyła. Wy-



mknął się tylnym wyjściem, unikając ataku fleszy. Wezwał taksówkę i po raz pierwszy tego wieczoru z rozkoszą zaczerpnął haust świeżego powietrza.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Rozbudzony Mark usiadł na łóżku. Ktoś hałasował na podeście schodów. Po ceremonii nabrał ochoty na ucieczkę z miasta, więc zamiast jechać do pobliskiego mieszkania, kazał się zawieźć do Sussex.

Kolejny stukot uświadomił mu, że to nie sen. Była druga nad ranem i ktoś łaził po jego domu.

Wyskoczył z łóżka, zastanawiając się, co powinien zrobić. Nie miał pod ręką żadnej broni. Nim zdążył zapalić światło, drzwi się otworzyły i napastnik skoczył na niego, zwalając go z nóg. Mark odruchowo zaczął się bronić. Nie ma mowy, żeby jakiś gówniarz z wioski ukradł mu sprzęt audio czy rodowe srebra.

Po krótkiej walce obezwładnił złodzieja. Trzeba wezwać policję, tylko jak?

- Au!

Poczuł piekący ból. Ten drań go ugryzł! I wyrwał się, korzystając z jego chwilowego oszołomienia. Rzucił się i zdołał go chwycić za kostkę.

Pora sprawdzić, z kim ma do czynienia. Nie bez trudu zapalił lampę przy łóżku i oniemiał... Może naprawdę mu się to śni? To nie był chłopak z wioski. Dziewczyna miała miękkie jasne włosy, duże zielone oczy i była ubrana w piżamę. Zaczerwienił się, nie wiedząc właściwie, dlaczego. Niektóre kobiety oddałyby wiele, żeby się z nim spotkać, ale to już przesada!

Wtedy zaczęła mamrotać i usłyszał swoje nazwisko.

- Wiem, jak się nazywam. Ale kim pani jest, jak rany?

Patrzyła na niego, oniemiała i coraz bardziej czerwona. W panującej ciszy jedynym dźwiękiem był szmer ich przyspieszonych oddechów.

- Nazywam się Ellie Bond, jestem pana nową gospożą - przemówiła w końcu.

Poczuł, że się rozluźnia. Dziewczyna podciągnęła kolana i objęła je ramionami; wyglądała jak dziecko.

- Proszę wrócić do łóżka - polecił sucho.

Powinna była się domyślić, że coś tu się nie zgadza, gdy tylko potknęła się o leżący but. Swoim zwyczajem ustawiła pantofle równo. Mogła byle jak rzucić ubranie, ale nigdy obuwie. Zresztą wkładała je tylko w razie absolutnej konieczności, najczęściej chodziła boszo.

Była pewna, że już nie zaśnie, zawsze lubiła rano wstawać. Niedługo nadejdzie świt. Odetchnie świeżym powietrzem, może to uspokoi jej wzburzony umysł. Naciągnęła na piżamę gruby wełniany sweter. Nie miała kapci, więc założyła japonki.

Z sąsiedniego pokoju nie dochodził żaden odgłos. Uspokojona, wyszła na korytarz i policzyła drzwi. Było ich czworo, a oprócz tego nieduży schowek naprzeciw łazienki, którego przedtem nie zauważyła. Zeszła na dół do kuchni, gdzie zamierzała się nad wszystkim spokojnie zastanowić. Na dziedzińcu od tyłu stał jej samochód. Poczowała jeden ze swych szalonych impulsów.

A gdyby tak wybiegła z domu, wskoczyła do auta i odjechała, nie oglądając się za siebie?

Oddychaj, myśl... Wiedziała, że takie impulsy są tylko kolejnym efektem zranienia głowy w wypadku. Zresztą wczorajsze nieoczekiwane spotkanie z nowym szefem pewnie zakończy jej karierę w tym domu.

Zrobiła sobie filiżankę mocnej herbaty i otworzyła wychodzące na patio drzwi. W blasku wschodzącego słońca ogród wyglądał przepięknie. Minęła rząd krzewów lawendy i weszła na pokryty rosą, krótko przystrzyżony trawnik. Odrzuciwszy głowę do tyłu, przymknęła oczy i poddała się pieszczocie słońca, wdychając cudowną woń budzącego się ogrodu.

Wspomniała swój dawny zwyczaj wychodzenia rankiem przed dom, gdy Sam i Chloe jeszcze spali. Spacerując po wilgotnej od rosy trawie, dziękowała Bogu za swoje wspaniałe życie. Gdy wracała do domu, wносиła ze sobą w codzienny gwar poranny spokój ogrodu. Był to jej sekretny rytuał.

Na rozwieszonych między gałązkami pajęczynie lśniły diamenty rosy. Co teraz zrobić? W jej głowie trwała gonitwa myśli. Marzenia o niezależności, o uwolnieniu się od

demonów przeszłości legły w gruzach. Była naiwna, sądząc, że umknie dręczącym ją upiorom.

Poczuła łzy pod powiekami. Otarła je wierzchem dłoni, a gdy była gotowa, zdjęła japonki i ruszyła bosą po trawie, przemawiając bezgłośnie do błękitnego nieba.

Podłoga na podeście schodów zatrzeszczała. Ellie przestała upychać rzeczy w walizce i wstrzymała oddech.

Po południu usłyszała na górze jakiś hałas, więc schowała się do pokoju, chcąc spakować walizki. Uznała, że im później spotka się ze swoim - wkrótce już byłym - szefem, tym będzie się czuła mniej zakłopotana i łatwiej poradzi sobie z emocjami. Podniosła niebieskiego misia Chloe z poduszki, na której go wczoraj postawiła, i przytuliła do twarzy. Kiedyś pachniał jej córką, ale teraz zapach truskawkowego szamponu już wywietrzył. Ellie pocałowała go i położyła obok walizki.

Z domu zabrała jedynie kilka pamiątek, które najpierw wyjęła z bagażu i umieściła blisko siebie. Na nocnym stoliku stała fotografia w srebrnej ramce. Było to jej ulubione wspólne zdjęcie z Samem, zrobione pod koniec podróży poślubnej. Lubiła je znacznie bardziej od sztywnych fotografii ze ślubu. Byli tacy beztroscy i roześmiani... Powiodła czubkiem palca po policzku męża. Jej przystojny Sam, ciepły i zabawny, z krzywym uśmiechem i rozwichrzoną czupryną. Gdy umarł, poczuła, że straciła żywotny organ. Tak ciężko było bez niego żyć.

Poznali się w pierwszej klasie podstawówki i odtąd byli nierozłączni. Pobrali się tydzień po ukończeniu studiów. Sam został nauczycielem w wiejskiej szkole, ona zaś dojeżdżała do londyńskiego City, pracując jako asystentka dyrektora w dużej firmie. Za oszczędzone pieniądze kupili i wyremontowali nieduży wiejski dom z ogrodem. Kiedy wyschły ostatnie pociągnięcia farby, oboje uznali, że spełniło się ich marzenie o przytulnym domu, i zapragnęli powiększyć rodzinę. Wiosną wrócili ze szpitala z małą Chloe, która zdawała im się cudem. Ellie nie wyobrażała sobie, że można być aż tak szczęśliwą.

Jedno deszczowe popołudnie okradło ją ze wszystkiego.

Owinęła ramkę w pizamę i starannie ułożyła w kącie najtwardszej walizki.

Kiedy po wypadku wróciła ze szpitala do domu, część przyjaciół i krewnych namawiała ją, żeby „jakoś” ułożyła sobie życie. Ich brak wrażliwości był dla niej zdumiewający. Nie chciała układać sobie życia, pragnęła, by wszystko było tak jak dawniej. Lecz to nie było możliwe. Stagnacja także stała się nie do zniesienia. Powinna się cieszyć, że wydarzenia zmusiły ją do opuszczenia jej wiejskiego domu.

Los przywiódł ją tutaj, do Larkford Place. Niestety, tylko na krótko. Nie miała pojęcia, co dalej. Nie mogła wrócić tam, skąd przyjechała. Po wczorajszej wpadce nie miała wielkiego wyboru.

Pora zanieść bagaże do samochodu. Chwyciła ciężką walizę, torbę wsunęła pod ramię i wolną ręką otworzyła drzwi. Zamarła w pół ruchu.

Mark Wilder stał przed nią z uniesioną dłonią, jakby zamierzał zapukać.

Opuścił rękę i wyjął z kieszeni spodni plik banknotów dwudziestofuntowych, które podał Ellie. - Pewnie się przydadzą.

Patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby chciał jej wręczyć granat.

- Na zakupy - wyjaśnił.

- Zakupy?

- Tak, zakupy. W sklepie płaci się pieniędzmi...

Pomachał plikiem banknotów, ona zaś wodziła za nimi wzrokiem.

- Pieniędzmi?

Uznał, że wyjątkowo ciężko kojarzy.

- Tak, w cywilizowanym świecie używamy pieniędzy, odkąd skończyły się nam wielbłądy na wymianę.

- Myślałam, że pan... że ja...

Gospośia, która nie potrafi robić zakupów, nie na wiele mu się zda. Decyzja, by wczorajszą wpadkę potraktować ulgowo, wydawała się przedwczesna.

Wszedł do jej pokoju, gdzie na łóżku leżały rozłożone bagaże. Upchnięte byle jak rzeczy wskazywały na pośpiech. Wbrew sobie zatrzymał wzrok na wystającym z torby jedwabnym fatałaszk. Gdy Ellie to zobaczyła, rzuciła się domykać suwaki.

Mark uświadomił sobie, że dziewczyna jest pewna, iż została zwolniona. Choć pomysł wydawał się kuszący, obecnie nie mógł sobie na to pozwolić. Po pierwsze dlate-

go, że Charlie wierciłaby mu dziurę w brzuchu, a po drugie, naprawdę potrzebował kogoś, kto będzie się zajmował domem w czasie jego licznych podróży. Za niecałą dobę miał znów wsiąść do samolotu i brakowało mu czasu na dalsze poszukiwania gosposi.

Może pora wykorzystać słynny urok Marka Wildera na spanikowanej Ellie Bond. Jeśli okaże jej, że wczorajszy incydent go rozbawił, dziewczyna się trochę rozluźni. Oczekał, aż skończy z bagażami, i przywołał na twarz swój zniewalający uśmiech.

- Cieszę się, Ellie, że przynajmniej jesteś w swoim pokoju. - Mrugnął do niej porozumiewawczo na znak, że to żart. - Zważywszy na twój ostatni wyskok...

Hm... dziwne. Żadnej reakcji.

- Nie ma powodu do tego wracać. Po prostu nie spodziewałam się, że ktoś tu jest, a ponieważ nie znam rozkładu domu, źle obliczyłam pokoje, w dodatku księżyc zaszedł...

Jednego nie rozumiał - skoro chciała pójść do toalety, to czemu pętała się po korytarzu?

- Dlaczego nie skorzystałaś z łazienki obok?

- Łazienki? - zapytała.

Mark podszedł do kremowych drzwi po przeciwnej stronie łóżka i delikatnie pchnął je grzbietem dłoni. Ich oczom ukazała się nieduża, ale elegancko urządzona łazienka. Ellie w milczeniu zajrzała do niej i wróciła do pokoju. Musiał przyznać, że kiedy nowa gosposia nie gryzie i nie wrzeszczy, wydaje się całkiem miłą.

Nagle wspomniał ubiegłą noc, gdy rzuciła się na niego w piżamie, nie na tyle luźnej, by zasłonić apetyczne krągłości, i sam poczuł się nieco oszołomiony.

- Mam łazienkę... w szafie?

- To nie jest żadna szafa z Narnii - odparł, wzruszając ramionami. - Garderoba jest po drugiej stronie kominka, po prostu drzwi są identyczne. - Ponieważ patrzyła na niego jak na idiotę, dodał: - Myślałem, że to będzie zabawne. Tajemne drzwi i przejścia pasują do tego starego domu. Mam nadzieję, że kolejna doba upłynie nam bez niespodzianek.

- Już mówiłam, że to był przypadek - mruknęła, marszcząc brwi.

Wyglądała, jakby miała chęć go znowu ugryźć. Uznał, że żartami nic z nią nie wskóra, więc przeszedł do rzeczy.

- Ellie, weź te pieniądze - powiedział, kładąc banknoty na komodzie. - Jestem w trakcie załatwiania karty kredytowej na domowe wydatki. Dostaniesz także laptopa, żebyśmy mogli utrzymywać ze sobą kontakt mejlowy.

Zbliżył się do łóżka i wziął do ręki smutnego niebieskiego misia. Nie spodziewał się, że dorosła kobieta będzie sypiała z maskotką, ale co go to w sumie obchodzi? Rzucił misia z powrotem na łóżko, ale pluszak odbił się i spadł na podłogę. Ellie podbiegła, podniosła go i przycisnęła do piersi, piorunując go wzrokiem.

Mark uznał, że najwyższa pora się oddalić.

- Zobaczymy się przy kolacji? - Oczami duszy ujrzał siebie w roli pogromcy lwów, jak usiłuje przytrzymać lwicę na dystans rozchwierutanim krzeselkiem. Nie zdziwiłby się, gdyby na niego ryknęła.

- Okej.

- Może zjesz z nami? Zaprosiłem Charlie, żeby jej podziękować za znalezienie mi... - omal nie powiedział „dzikiej kocicy”, ale w ostatniej chwili zdążył się powstrzymać - gosposi w tak krótkim terminie. Może uda nam się przełamać lody, zanim znowu zniknę.

- Dziękuję panu - odparła chłodno.

Świetnie, skoro chciała trzymać wobec niego dystans, on potraktuje ją tak samo. O ile mu się uda...

Ponieważ z powodu zmiany strefy czasu nie mógł spać, postanowił wziąć gorący prysznic. Przypadkowo wyjrzał przez okno i spostrzegł w ogrodzie Ellie, która spacerowała, wymachując ramionami i gadając do siebie. O szóstej rano! W piżamie!

W jego wnętrzu rozlało się znajome ciepło, oznaka bliskości kobiety. Nigdy dotąd nie doświadczył tego jednak na widok piżamy pradiadka, pasiastej i bawełnianej. Lubił satynę i jedwab. Co się z nim właściwie działo?

Zapiekł go ślad po ugryzieniu. Powinien pamiętać, że jasnowłosa Ellie nie jest wcale aniołkiem, lecz dzikusiem. Poza tym nie musi jej lubić, a jedynie płacić za zajmowanie się domem. Należy zachować dystans, choć było w niej coś odświeżająco odmiennego.

Szaleństwo, odpowiedział sobie. Tym właśnie Ellie różni się od innych. Szalone kobiety stanowią problem. Nigdy nie wiesz, co im przyjdzie do głowy.

Poziewując, siedział przed kominkiem, na którym trzaskały polana. Nie powinien teraz zasypiać, lecz tak przyjemnie jest obserwować płomienie...

Kiedy się obudził, ogień przygasł, a polana zamieniły się w popiół. Z kuchni dochodziły damskie głosy. Zerknął na zegarek; spał ponad trzy godziny. Ruszył do jadalni, skąd akurat wychynęła Charlie. Zaburczało mu w brzuchu. Cierpiał na zaburzenia snu, ale nadal miał wilczy apetyt.

- Przestań denerwować moją przyjaciółkę, Mark. Potrzebuje tej pracy, nie wolno ci zepsuć jej tej szansy.

Zaraz, czy nie jest przypadkiem na odwrót? Skoro on zatrudnia Ellie, to raczej ona nie powinna go denerwować? Przez moment wątpił, czy dom będzie jeszcze stał, kiedy wróci tu za kilka tygodni.

Mark postanowił zmilczeć. Nie ma sensu spierać się z kuzynką. Dobrze pamiętał, jak kiedyś uparła się, by zabrać do domu kotka znajdę. Gdy go niósł, zwierzak podrapał go do krwi. Dwadzieścia lat zajęło mu pozbycie się zgubnego zwyczaju ratowania wszelkiej maści żalonych znajd.

Helena właśnie taka była. Delikatna, krucha, bezbronna. Nie umiał jej się oprzeć. Jego instynkt opiekuńczy wobec takich kobiet działał bez zarzutu. Helena była z nich najbardziej potrzebująca, a on bez namysłu się nią zajął. Po trzech miesiącach odpasiony kotek znajda znikł jak kamfora. Problemem takich istot jest egoizm.

Mark dawno postanowił ich unikać, zarówno kotów, jak i kobiet. Kobiety zawsze czegoś od niego chciały. On jednak przestawał wyłącznie z takimi, które pragnęły pieniędzy, sławy, uwagi. To go nic nie kosztowało.

Egzotyczny aromat przypraw ściągnął go na ziemię. Niczym przyciągany magneseM ruszył wprost do jadalni. Zasiadł naprzeciw Charlie i czekał pełen nadziei na dobry posiłek, przetykając ślinę.

Ellie wyszła z kuchni z ostatnim półmiskiem. Wydawała się chłodna i opanowana. Tajskie potrawy wyglądały i pachniały rozkosznie. Nie zastanawiając się dłużej nad jej przemianą, nałożył sobie kopiastą porcję i zaczął jeść.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Ellie nałożyła sobie na talerz niewielką porcję. Co się z nią dzieje? Mark Wilder tylko wszedł do pokoju i usiadł, a jej ciało wprost oszalało. Facet wyglądał obłądnie! Ellie nie kpiła już z rozanielonej reporterki; gratulowała jej w duchu, że potrafiła sklecić sensowną wypowiedź mimo bliskości tego przystojniaka.

Wczorajszej nocy była zbyt zszokowana, by zauważyć reakcję swego ciała na niego, dziś po południu natomiast zbyt wściekła. Głównie na siebie, ale skrupiło się na nim. Rzecz jasna, winę należało przypisać jej mózgowi. Dotąd potrafiła przecież panować nad emocjami, a teraz byle drobiazg mógł wywołać frustrację lub rozpacz. Przypomniawszy sobie ostrzeżenia lekarzy, wydała westchnienie ulgi, ściągając na siebie wzrok współbiesiadników. Pośpiesznie wpatrzyła się w swój widelec. Znała już odpowiedź.

Niektórzy ludzie zauważali zmiany w popędzie seksualnym po doznaniu ciężkich urazów głowy. To, że Mark aż tak ją pociągał, należy przypisać właśnie temu. Facet zupełnie jej nie obchodził, szalały tylko jej uszkodzone w wypadku neurony.

To tłumaczy wszystko. W normalnej sytuacji taki mężczyzna nigdy by jej nie pociągał, nie lubił tak zwanych niegrzecznych chłopców. Komu potrzebne kłopoty? Dajcie jej mężczyznę takiego jak Sam, ciepłego i wiernego, wtedy proszę bardzo, nie zaś czarusa, którego interesują tylko podboje.

Ponieważ zależało jej bardzo na tej pracy, musi zrobić wszystko, by wziąć się w garść. Kiedy facet wróci z następnej podróży, ona będzie już na powrót chłodna i opamnowana. Niechcący spojrzała na niego, gdy uśmiechał się do Charlie. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi, a przecież nawet na nią nie patrzył! Ten wieczór to tortura. No nic, kiedy skończą jeść, uda zmęczoną i ucieknie do pokoju. Charlie musi ją zrozumieć.

Mark ukradkiem obserwował Ellie, która nie podnosiła wzroku znad talerza ani nie brała udziału w rozmowie, nie licząc informacji o zalany mieszkanie nad garażem, co wyjaśniło tajemnicę jej nocowania w pokoju gościnnym. To tyle, jeśli chodzi o „przełamywanie lodów”. Atmosfera w jadalni była daleka od swobodnej. Na razie nie zamierzał tego zmieniać i zajął się pogawędką z Charlie.



Ellie konsekwentnie milczała. Mark odnosił wrażenie, że najchętniej stałaby się niewidzialna. Sam czuł się nieco dziwnie. Praktycznie nie była umalowana, włosy upięła byle jak kłamrą na czubku głowy, mimo to nie mógł przestać na nią zerkać. Przyczyną muszą być feromony, bo przecież ta kobieta nie jest w jego typie.

Jasny lok wymknął się spod kłamry, lecz nim zdążył wpaść do jej talerza, szczupłe palce zatknęły go za ucho. Ta drobna dłoń wymierzyła mu wczoraj w nocy niezły cios. Obserwował, jak przytyka do ust serwetkę, ujmuje widelec...

Charlie przyłapała jego skupione na Ellie spojrzenie i uśmiechnęła się drwiąco. Trącił ją ostrzegawczo pod stołem. Znał ją i wiedział, że lubi paplać, a nie chciał, by teraz czyniła złośliwe uwagi, gdy akurat osiągnął z Ellie lodowate zawieszenie broni.

Charlie posłała mu miażdżące spojrzenie i nieznacznym ruchem roztarła sobie nogę. Po chwili poczuł mocne kopnięcie w goleń. Stłumiony okrzyk bólu ściągnął na niego uwagę Ellie. Postanowił ratować sytuację i zachować się jak rzeczowy pracodawca, skoro rola dobrego kumpla zupełnie mu nie wychodzi.

- Skąd pochodzisz, Ellie? - spytał uprzejmie.

- Z Kentu.

- Z całego hrabstwa czy z jakiejś konkretnej miejscowości?

- Z Barkleigh.

Co ma znaczyć jej ostry ton? Czy jest na niego zła? Lubił kobiety z poczuciem humoru, a jej go wyraźnie brakowało. Trochę szkoda.

Co to znów za myślenie? Jest szefem Ellie, a ona jego pracownicą. Będzie z nią gawędził, żeby poczuła się z nim swobodniej. Zaczynamy...

- Co sprawiło, że postanowiłaś...

Zanim dokończył pytanie, Ellie z brzękiem zebrała naczynia i zniknęła w czeluściach kuchni, mamrocząc coś o kawie i deserze. Mark odczekał sekundę, po czym chwycił puste kieliszki i ruszył za nią. Miał nieodparte wrażenie, że powiedział coś nie stosownego, tylko co? Wiódł wszak niezobowiązującą rozmowę...

Gdy wszedł do kuchni, Ellie stała przy zlewie z talerzami w rękach. Wydawała się zagubiona, nie w sensie przenośnym, lecz dosłownym, jakby nie miała pojęcia, co zrobić

ani gdzie się udać. Mark chciał jej pomóc, na co podskoczyła jak rażona gromem. Talerze rozbiły się na posadzce. Mamrocząc przeprosiny, zaczęła zbierać okruchy porcelany.

- To moja wina - powiedział Mark. - Niepotrzebnie cię przestraszyłem. - Przykucnął, by razem z nią posprzątać naczynia.

Gdy skończyli, podsunął jej krzesło i oznajmił, że zrobi kawę. Zajął się obsługą ekspresu, ona zaś patrzyła na niego wielkimi przestraszonymi oczami.

- Kolacja była przepyszna - powiedział, podając jej filiżankę aromatycznego płynu.

- Dziękuję - bąknęła zaskoczona.

Nagle przestał mieć ochotę na produkowanie fajerwerków humoru, czego zwykle po nim oczekiwano. Dawno zapomniany instynkt podpowiedział mu, by dać spokój czarowaniu i zwyczajnie z nią porozmawiać, jak z człowiekiem. Ponadto miał pytanie, które naprawdę pragnął jej zadać, i wiedział, że ona się nie obrazi.

- Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła... - zaczął z wahaniem.

Ellie uniosła wyczekująco brwi.

- Uwielbiam wschodnią kuchnię, ale jest coś, czego dawno nie jadłem, a mam na to straszną ochotę. Ciekaw jestem, czy mogłabyś mi to kiedyś przyrządzić?

- Co? - Z jej oczu nie znikał wyraz nieufności.

- Zapiekanekę pasterską z mielonego mięsa i ziemniaków - wyjaśnił, patrząc na nią szeroko otwartymi oczami małego chłopca.

Ellie znowu go zaskoczyła. Miał go ofuknąć bądź spiorunować wzrokiem, głośno i serdecznie się roześmiała.

Gdy następnego rana weszła do kuchni, było w niej cicho i pusto. W istocie przypominała pomieszczenie w hotelu. Brak było zwykłego bałaganu, który czyni z kuchni serce domu; żadnych zdjęć rodzinnych, dziecięcych rysunków, misek psich lub kocich ulubieńców.

Na pustym blacie znalazła kartkę od Marka z wiadomością, że już wyjechał na lotnisko. Była przypięta do szczegółowego planu jego podróży, na wypadek, gdyby Ellie chciała się z nim skontaktować. Ucieszyła się, że Mark udzielił jej pozwolenia na kupno sprzętów kuchennych, jakie uzna za niezbędne w gospodarstwie. Niektóre kobiety uwielbiały kupować buty, Ellie natomiast szalała za gadżetami do kuchni, a w tym domu

stwierdzała istotne braki. Potrzebowała malaksera, tarki, łyżeczek do odmierzania składników... W szafkach znajdowały się różne sprzęty, lecz większość z nich należała do kategorii „ładne, ale nie do użytku”. O wymyślną tarkę na przykład do imbiru otarła sobie wczoraj knykcie.

Mimo zachmurzonego nieba posiadłość prezentowała się pięknie. Na trawniku pyszniły się kępy narcyzów, śpiewały ukryte wśród listowia ptaki, na srebrnoszarych gałązkach różowiły się pierwsze pąki wiśni. Szkoda było tkwić w domu, więc wyszła do ogrodu i spacerowała, póki nie wypila herbaty.

Nabrała zwyczaju spacerowania rankiem z filiżanką ulubionego napoju. Po powrocie określała w myślach liczbę dni do przyjazdu Marka. Dwanaście dni cudownej samotności, jedenaście, osiem...

Ignorowała to, że z każdym upływającym dniem czuła coraz większą radość, a nie rozczarowanie.

Mark siedział wygodnie rozparty na wiklinowej sofie na tarasie swojego apartamentu w hotelu. Radował się błękitem nad głową i wcale nie przeszkadzał mu hałas z Rodeo Drive. Miał za sobą długi i ciężki dzień, podczas którego stawiał czoło prawnikom z amerykańskiej firmy fonograficznej, by wynegocjować dla Kat jak najlepszy kontrakt. Odmówił zaproszeniu przejścia się po klubach, jakie otrzymał od szalenie efektownej prawniczki. Z nieznanym sobie przyczyn wolał zostać sam. Powinien się dobrze zastanowić, dlaczego tak się stało. Nie zwykł odmawiać pięknym kobietom.

Siedząc w ciepłym słońcu w szortach i koszulce, czuł się dziwnie nie w sosie. Przez głowę przebiegały mu rozproszone obrazy, układając się nieodmiennie w postać jego nowej gosposi. Co go opętało?

Przytrafiło mu się to po raz trzeci. Widział ją wszędzie. Nie chciał przecież wspominać wyrazu zagubienia na jej twarzy, gdy stłukła jego najlepszą zastawę. Ani ciepłego uśmiechu, gdy zagadnął ją o opiekankę pasterską.

Gosposie nie należą do osób, o których warto pamiętać. Mają się wtapiać w tło i starannie wykonywać swoją pracę. Wiedział z doświadczenia, że niezbędne jest oddzielenie życia prywatnego od zawodowego.

Z Kat nieszczególnie ci się to udaje, zadrwił jego głos wewnętrzny. Nie, to całkiem co innego. Wobec Kat zachowywał się jak starszy brat, bo była taka młoda i niedoświadczona... Pamiętał, by nie zbliżać się do osób, które dla niego pracowały. Wyleczył się z tego dawno temu, a było to bolesne przeżycie. Potrafi kontaktować się z Ellie Bond, nie postrzegając jej jako kobiety... która tak ponętnie wyglądała w pasiastej piżamie.

Westchnął. Za tydzień ma wrócić do Larkford.

Ellie tam będzie. W końcu po to ją właśnie zatrudnił. Na myśl, że będą całkiem sami w wielkim starym domu, zrobiło mu się dziwnie gorąco. Wstał i spojrzął na dalekie wzgórza Hollywood. Istnieje rozwiązanie - należy zappełnić dom ludźmi. Całą masą ludzi.

Do powrotu Marka zostało jeszcze pięć dni. Coraz bardziej niespokojna Ellie postanowiła zająć myśli generalnymi porządkami. Szczególnie intrygowała ją szafa w pokoju gościnnym, zastawiona nierozpakowanymi jeszcze pudłami przysłanymi z londyńskiego mieszkania Marka. Znalazła w nich komplety pościeli, raketę do squasha i mnóstwo książek. Przypomniawszy sobie puste półki w gabinecie, postanowiła je tam ustawić.

Zniosła pierwsze pudło na dół i zaczęła wykładać książki. Z ostatniego tomu wysliznęła się kartka papieru. Podniósłszy ją, Ellie uświadomiła sobie, że to nie papier, ale fotografia. I to nie byle jaka - zdjęcie ślubne.

Mark Wilder i anonimowa panna młoda. Ciekawe... Zatem nasz playboy nie zawsze był kawalerem...

Z uwagą przyjrzała się fotografii. Mark wyglądał młodziej, na dwadzieścia kilka lat, był przystojny i szalenie zakochany w swojej pięknej żonie. Mina Ellie nieco złagodniała. Mężczyzna, który takim wzrokiem patrzył na kobietę, miał w sobie coś. Nie wiedziała dokładnie co, zresztą on chyba również, skoro to odrzucił i zaczął zupełnie nowe życie. Jaka szkoda.

Na odwrocie fotografii widniał napis „Mark i Helena” oraz data sprzed dwunastu lat. Ellie wsunęła zdjęcie z powrotem do książki i postawiła ją na grubej drewnianej półce. Czowała się trochę nieswojo, że odkryła coś, co miało pozostać tajemnicą.

Układanie książek przerwał jej przeraźliwy brzęk telefonu. Linia domowa, nie zaś ta w gabinecie, musiała więc wybiec na korytarz. Nie miała pojęcia, gdzie odłożyła aparat, z którego wcześniej korzystała.

Drrrr! Aha, dźwięk dochodzi z kuchni. Ellie wpadła tam i rozejrzała się w panice. Telefon leżał w szufladzie z drewnianymi łykami. Porwała go i wcisnęła guzik odbioru. W słuchawce odezwał się głos Marka.

Od razu poczuła łaskotanie w całym ciele. Dlaczego nie wysłał jej mejla? Odpisałyby mu rzeczowo i spokojnie. No tak, przecież zapomniała hasła i nie sprawdzała poczty już od wielu dni, dlatego musiał zadzwonić.

Nagle uświadomiła sobie, że Mark przestał mówić.

- Ellie?

- Yyy...

- Czy wszystko w porządku? - spytał z lekkim rozbawieniem.

- Nie mogłam... znaleźć... aparatu - odrzekła zdyszana, oczywiście przez to bieganie po całym domu. - W czym mogę pomóc?

- Postanowiłem wydać skromne przyjęcie z okazji powrotu, nic szczególnego, przyjdzie kilkadziesiąt osób.

Kilkadziesiąt! Wrzasnęła w duchu.

- Moja asystentka rozsyła zaproszenia, dostaniesz od niej listę firm cateringowych. Impreza odbędzie się w sobotę.

- W tę sobotę? Został niecały tydzień!

- Wiem. Pisałem do ciebie mejle, ale nie odpowiadałaś. Nie przejmuj się... Okej, muszę kończyć. Wracam w piątek wieczorem.

Nie dał jej czasu na sprzeciw, a ona nie jest w stanie zorganizować przyjęcia w sześć dni! Ledwie radziła sobie z codziennym prowadzeniem domu. Z drugiej strony nie miała wyboru. Jeśli chce zachować posadę, musi się dostosować do kaprysów szefa.

Od czego powinna zacząć? Od tak dawna nie urządzała żadnych przyjęć, że czuła się, jakby planowała wyprawę do Amazonii.

Tylko bez paniki. Powoli, drobnymi krokami opanuj sytuację, nakazała sobie. Firma sprzątająca przyjeżdża w piątek, więc to załatwione. Ogrodnik pomoże jej poprzestawiać meble na dole, w kwiaciarni we wsi można zamówić bukiety.

Doszła do wniosku, że niewiele się to różni od jej obowiązków, gdy pracowała jako asystentka szefa w londyńskim City. Facet lubił urządzać koktajle, żeby imponować kolegom, przechadzał się wtedy dumny i rozradowany, a następnego dnia znowu prezentował kwaśną minę i nawet jej nie dziękował. Jeśli radziła sobie wtedy, bez trudu poradzi sobie i teraz.

Tak, ale to było przedtem...

Nakazała sobie spokój. Przy odrobinie wysiłku wszystko sobie przypomni. Przejęta zaczęła układać w myśli menu. Ma niepowtarzalną szansę udowodnienia swemu pracodawcy, że jest świetna. Odszukała w książce telefonicznej numer kwiaciarni. Skoro pan Wilder życzy sobie przyjęcia, już ona mu je urządzi!

Poprawiła cienkie ramiączka małej czarnej, którą pożyczyła od Charlie. Wcale się nie cieszyła na ten wieczór. Mark uparł się, by wzięła udział w przyjęciu i „nieco się rozzerwała”, przy okazji dyskretnie nadzorując pracę kelnerów. Ona sama wolałaby spędzić ten czas w swoim mieszkanku, z książką i paczką herbatników.

Przejrzała się w lustrze, obróciła... Nieźle. Prosta sukienka podkreślała jej zgrabną figurę. Wsunęła na stopy pożyczone od Charlie sandałki na wysokim obcasie. Nie czuła się w nich zbyt pewnie. Zgrzyt opon na podjeździe przywołał ją do rzeczywistości. Przybywają pierwsi goście, trzeba zejść na dół. Witanie ich nie należało do jej obowiązków, ale chciała się upewnić, że wynajęte przez nią dwie dziewczyny ze wsi poradzą sobie z płaszczami i kierowaniem gości do salonu. Postanowiła przemęczyć się przez godzinę, a potem dyskretnie się wymknąć.

Główny hol był obszerniejszy niż salon w jej dawnym wiejskim domu. Prowadziły do niego szerokie dębowe schody z pięknie rzeźbionymi balustradami. Ellie trzymała się ich kurczowo, stąpając niepewnie w efektownych, acz niewygodnych, sandałkach Charlie. Gdy wreszcie znalazła się w holu, obok wielkiego marmurowego kominka ujrzała Marka pogrążonego w ożywionej rozmowie z pierwszymi gośćmi.

Wczoraj wieczorem stwierdziła z niesmakiem, że czas i odległość nie zmieniły jej reakcji. Drżała i czerwieniła się przy nim jak reszta kobiet w promieniu pięciu mil. Pocięczała się, że ona ma przynajmniej powód medyczny.

Zerknęła na Tanię i Faith, dziewczyny, które miały pomagać gościom zdejmować okrycia. Niestety, były zbyt zajęte chichotaniem i gapieniem się na pewnego osobnika płci męskiej. Podeszła do nich i przyciszonym głosem wydała instrukcje. Speszzone, natychmiast rzuciły się do akcji. W progu stanęła większa grupa gości, a Mark podszedł ich przywitać. Gdy stanął obok Ellie, musiała spojrzeć mu w oczy. Poczowała się niepewnie. Spuściła wzrok i nerwowo wygładziła sukienkę. Czuła mrowienie w karku, co oznaczało, że Mark wciąż na nią patrzy. Wciągnął powietrze, jakby chciał coś powiedzieć, ale przerwał mu huczący baryton jednego z przybyłych.

- Mark, stary draniu! - Blondyn klepnął go z rozmachem w ramię.

- Cześć, Piers. Jak ci się podoba mój nowy dom?

- Strasznie trudno tu trafić, tyle ci powiem! - huknął mężczyzna, powtarzając klepnięcie. - Pozwól, że ci przedstawię moje piękne dziewczyny: Carla, Jade, a Melodie już oczywiście znasz.

Ellie pamiętała tę kobietę z telewizji. W duchu ponagliła ją, żeby zdjęła okrycie, umożliwiając jej tym samym szybkie oddalenie.

Mark przywitał się uprzejmie, ale widziała, że był lekko skrepowany. Ellie z naręczem ubrań już miała się wycofać, gdy Tania i Faith wróciły, odbierając jej pretekst do odejścia. Na domiar złego Mark o coś ją zapytał. Słyszała słowa, ale jej mózg odmówił zrozumienia ich sensu. Milczała speszona.

Na szczęście do holu weszła kelnerka z wielką tacą. Catering! Ellie przypomniała sobie o swoich obowiązkach. Zamierzała sprawdzić każdy szczegół złożonego zamówienia. Wymamrotała nieskładne przeprosiny i oddaliła się za kelnerką. Nim znikła w salonie, dosłyszała jeszcze huczący głos Piersa.

- Ho-ho! - zawołał z podziwem. - Któż to był?

Nie czekając na odpowiedź Marka, przyspieszyła kroku. Naprawdę nie miała dziś ochoty na uprzejme pogawędki. Kiedyś potrafiła być zabawna i dowcipna, ale to było dawno i już o tym zapomniała. Spotkania towarzyskie są dla innych, a nie dla niej.

Tłum gości rósł z każdą chwilą. W salonie roiło się od sław z branży muzycznej. Przy kominku stał słynny piosenkarz, wiecznie okupujący listy przebojów. Obok niego dziewczyna, którą Ellie widziała ostatnio w telewizji. Niestety, nie umiała sobie przypomnieć ich nazwisk, a ludzie ci oczekiwali, że zostaną rozpoznani.

Okrażyła salon, poprawiając tu i ówdzie kwiaty w wazonach, pełna nadziei, że nikt jej nie zagadnie, i czekała, kiedy będzie mogła umknąć.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

W kuchni znalazła bezpieczne schronienie. Personel z cateringu pracował sumiennie, nie miała więc prawie nic do roboty. Po pewnym czasie ktoś ją o coś zapytał i zanim się obejrzała, na różnych zajęciach minęły jej dwie godziny. Zaczynała czuć zmęczenie, jej umysł zwolnił obroty, a ona wiedziała, że nie wolno jej tego ignorować. Brzęk tac, gwar głosów i bieganina stały się nie do zniesienia, więc poszła tylnymi schodami na górę.

Zanim schowała się w swoim mieszkaniu, spojrzała jeszcze na salon i hol, gdzie przyjęcie trwało w najlepsze. Była z siebie zadowolona i chciała zachować to miłe wspomnienie. Oparta o poręcz schodów, obserwowała rozbawionych gości. Gwar rozmów mieszał się z brzękiem kieliszków i sztućców. Z oddalenia ów dźwięk wydał jej się nawet przyjemny.

Powiodła wzrokiem po kłębiącym się tłumie i uświadomiła sobie, że szuka Marka. Musiała przyznać, że doskonale pełnił rolę gospodarza. Z uśmiechem krążył między grupkami gości, bawiąc ich rozmową. Zarazem nie dominował, nie starał się skupiać uwagi wyłącznie na sobie. Gawędził teraz z kobietą, która towarzyszyła mu na ceremonii rozdania nagród. Jawnie z nim flirtowała, trzepocząc rzęsami. Ellie przewróciła oczami. Gdy kobieta na moment się odwróciła, sięgając po kieliszek z koktajlem, Mark przybrał znekąną minę. Musiała się uśmiechnąć. Postanowiła przyjrzeć mu się bliżej.

Rozmawiał, uśmiechał się, lecz co pewien czas zastygał zapatrzony w przestrzeń, po czym ktoś znów wciągał go w rozmowę. Wyglądał, jakby miał ochotę...



No nie, to jakiś absurd. Po co ktoś miałby wydawać przyjęcie, skoro nie ma chęci w nim uczestniczyć?

- Czemu się tu chowasz? Szukałam cię wszędzie.

Przestraszona Ellie przycisnęła ręce do piersi.

- Jesteś kłębkiem nerwów - rzekła Charlie z niepokojem, poklepując ją lekko po ramieniu. - Chodź, rozerwiesz się trochę. W końcu trwa przyjęcie.

- Wiem. Martwię się, bo przecież nie mogę stracić tej posady. - Jej oczy napękały się łzami. - Czy mówiłaś mu... Markowi... o mnie? - spytała drżącym głosem.

Charlie objęła ją łagodnie i przytuliła.

- Powiedziałaś mu tylko, że jesteś moją starą przyjaciółką i świetnie się nadajesz do tej pracy. Nie kłamałam, Ellie.

- Ale czy wspomniałaś mu o... moich problemach z... - jękała Ellie, ścierając z poręczy niewidoczną plamę.

- Nie - odparła cicho Charlie - nie mówiłam mu nic o wypadku i jego konsekwencjach. To od ciebie zależy, czy ujawnisz to Markowi.

Zatem Charlie jej uwierzyła, gdy Ellie zapewniała ją, że jest urodzoną gospożą. Teraz będzie musiała udowodnić, że tak jest w istocie. Odetchnęła głęboko.

- To dobrze. Dziękuję ci.

- Czy naprawdę uważasz, że wyprowadzka z domu i pobyt tutaj pomogą ci... wyzdrowieć? - spytała delikatnie Charlie.

Ellie poczuła nagle, że musi usiąść. Nogi załamały się pod nią, jakby ktoś złożył krzesło, ledwo zdążyła przytrzymać się poręczy. Charlie otoczyła ją ramieniem.

- W tej nagłej chęci wyjazdu z Barkleigh kryje się coś więcej, prawda? Dlaczego właściwie postanowiłaś się wyprowadzić, Ellie?

Bums. Trzeba przyznać, że Charlie jest dobrą obserwatorką. Ellie gapiała się na tłum gości. Ich jedynym problemem był wybór biżuterii na wieczór albo odpowiednio eleganckiego lokalu, w jakim chętnie zjedliby kolację.

Ogarnęło ją tak dojmujące poczucie straty, że chciała roztopić się w nicość. Czasem pragnęła, żeby jej umysł całkiem odmówił posłuszeństwa. Mogłaby wtedy zwyczaj-

nie wyparować, niczego nie czuć ani nie pamiętać. Najbardziej męczył ją ten stan zawieszenia.

- Nie mogę wrócić do domu - wyszeptała.

- Ale dlaczego?

- Pamiętasz Ginny, moją dawną przyjaciółkę i matkę chrzestną Chloe?

Charlie potaknęła. Ellie z trudem zmusiła się do wypowiedzenia następnych słów.

- Jest w ciąży.

Charlie zsunęła dłoń z ramienia Ellie i splotła palce z jej ręką, ściskając ją mocno. Ellie trzymała się jej jak kotwicy, jakby bez niej mogła utonąć.

- Na myśl, że miałabym widywać codziennie jej rosnący brzuch, patrzeć, jaka jest szczęśliwa ze Steve'em, ogarnia mnie szaleństwo. Musiałam wyjechać.

Nie zazdrościła przyjaciółce, lecz codzienny kontakt był dla niej zbyt bolesnym i trudnym przeżyciem.

- Przynieść ci coś? - spytała Charlie, obejmując ją ramieniem. - Może wody?

- Nie, jestem po prostu skonana. Postoję tu jeszcze trochę, a potem pójdę spać. Baw się dalej. - Przystojny mężczyzna, z którym przyszła Charlie, rozglądał się dokoła. - Chyba ktoś cię szuka. - Lekko popchnęła przyjaciółkę w kierunku schodów.

Mężczyzna zauważył swoją towarzyszkę i rozpromienił się na jej widok. Ellie westchnęła. Przynajmniej niektórzy są szczęśliwi.

Rozejrzała się po salonie. Mark stał oparty o marmurowy kominek z tym samym nieobecny spojrzeniem. Wróciła myślami do ślubnej fotografii. Dziś wieczorem często się uśmiechał, ale żaden uśmiech nie przypominał tamtego, przeznaczonego dla ślicznej żony. Co się właściwie z nią stało? Uświadomiła sobie, że pod pozorem beztroski Mark skrywa być może niezagojone rany. Jej ręka bezwiednie dotknęła medalionu. Ellie wiedziała, jaki sprawiają ból.

Jak gdyby wyczuł na sobie jej spojrzenie, Mark zastygł w pół ruchu, po czym obrócił się i popatrzył prosto na nią. Poczowała się niezręcznie. Ale nie był zły ani drwiąco się nie uśmiechał. Gwar głosów przycichł, stłumiony głośnym dudnieniem.

Aha, to jej puls. Policzki Ellie pokrył rumieniec, ale nie ruszyła się z miejsca. Nie odrywając wzroku od Marka, cofnęła się chwiejnie, po czym umknęła w głąb korytarza.

Minąwszy drzwi swojego pokoju, zeszła tylnymi schodami do kuchni, nie wiedząc właściwie, czego tam szuka. Porwała z tacy tartinkę z wędzoną rybą i wsunęła ją do ust. Wzięła też kieliszek koktajlu od przechodzącej kelnerki i wlała go sobie do gardła, nie czując smaku. Na blacie stała taca z kieliszkami szampana, pustymi i pełnymi. Chwyliła pełny i wyszła na swój ulubiony spacer po ogrodzie.

W czystym nocnym powietrzu niosły się wołania i śmiech. Upiła łyk perlistego trunku. Nagle poczuła, jak obolałe ma stopy, i przysiadła na niskim murku, by zdjąć sandały. Boso ruszyła po sprężystej trawie.

Czuła się cudownie. Zamknęła oczy i wypila jeszcze łyk. Zaszumiało jej w głowie; przez cały wieczór zjadła tylko jedną tartinkę. Postąpiła kilka kroków, czując żdźbła trawy między palcami stóp. Odrzuciła głowę do tyłu i dopiła szampana. Na nieoczekiwany dźwięk męskiego głosu za plecami dostała gęsiej skórki.

- Przyłapałem cię na gorącym uczynku!

Poczuła dwa ciężkie łapska na ramionach. Kieliszek wypadł jej z ręki i potoczył się po trawie. Wysunęła się z objęć faceta, po czym odwróciła się i stanęła przed nim.

- O co chodzi? - wybełkotał. - Nie podobam ci się?

Blondyn o aroganckim uśmiešku, z którym Mark się witał przy niej. Jeśli reszta jego przyjaciół jest podobna, to nie zależało jej na ich poznaniu.

- Co powiesz na mały spacer? - Facet znowu ją objął.

- Dziękuję, raczej nie. - Musiała pamiętać, że to gość Marka, nie mogła stracić opanowania i dobrych manier.

Jego oddech cuchnął whisky. Delikatnie zdjęła jego łapę z ramienia. Stracił równowagę i zachwiał się. Już się nie uśmiechał.

- Hej! Nie bądź taka sztywna...

Nie chciała się wdawać w rozmowę, by go nie zachęcać. Najlepiej się stąd usunąć. Ruszyła w kierunku domu, on zaś poczłapał chwiejnie za nią. Udało mu się ją dogonić i chwycić mocno za ramię.

Ogarnął ją tak straszliwy gniew, że pociemniało jej w oczach. Znała te napady i niewiele mogła na nie poradzić. Nie umiała nad nimi zapanować.

- Odwal się ode mnie! - ryknęła.

Zarechotał oblesnie i przyciągnął ją do siebie.

Zaślinionymi wargami dotknął jej ucha, po czym cmoknął ją mlaszcząco w szyję. Miała tego absolutnie dosyć. Koniec z poprawnymi manierami. Wzięła solidny zamach i trzasnęła gościa obcasem w skroń.

Markowi znudziła się nagle rozmowa z tymi samymi ludźmi na dokładnie te same tematy co w zeszłym tygodniu. Potrzebował świeżego powietrza.

Automatycznie ruszył w stronę kuchni, po czym przystanął w progu. Dlaczego tutaj przyszedł? Chyba po coś, tylko zapomniał po co. Jego głos wewnętrzny z drwiną uświadomił mu, kogo szukał. Nieważne, i tak jej tu nie ma. Postanowił wyjść przed dom.

Jaskrawe lampy na zewnątrz czyniły noc jeszcze czarniejszą. Dopiero po chwili zrozumiał, że nie jest sam. Przy końcu trawnika wyłuskał wzrokiem dwie postaci. Uśmiechnął się pod nosem - dwoje gości zapragnęło zawrzeć bliższą znajomość - lecz coś kazało mu spojrzeć w tamtą stronę jeszcze raz.

Piers najwyraźniej stosował swoje ulubione sztuczki. Uważał się za mistrza podrywu. Mark zaprosił go wyłącznie z jednego powodu - potrzebował pomocy jego kancelarii prawnej przy sformułowaniu ostatecznej wersji kontraktu z Amerykanami. W istocie Piers był raczej nieszkodliwy i większość znajomych kobiet umiała sobie z nim świetnie radzić. Mark wyteżył wzrok. Kogo też emablował tym razem?

Rzucił się biegiem, krew szumiała mu w uszach. Miał wrażenie, że porusza się w zwolnionym tempie, jak w koszmarnym śnie. Kobieta, którą napastował Piers, była Ellie. Mark nie zamierzał pozwolić zadufanemu w sobie, podpitemu bydlakowi na takie zachowanie wobec swojej pracownicy. Mogła przecież nie wiedzieć, jak...

Omam nie przewrócił się na mokrej trawie.

Chyba jednak wiedziała. Z podziwem patrzył, jak Ellie wymierza Piersowi bezbłędny cios obcasem. Mężczyzna zachwiał się i upadł na trawę, przyciskając rękę do skroni. Mark dopadł go i chwycił za kołnierzyk koszuli. Nie mógł się już doczekać, kiedy trzaśnie pięścią w tę jego śliczną buźkę. Powinien go zabić za takie traktowanie Ellie.

- Mark, nie!

Słyszając panikę w jej głosie, ochłonął. Podniósł oblesnego drania i popchnął go w kierunku tarasu.

- Czas do domu, Piers. Jesteś pijany.

Mężczyzna otarł ślinę z kącików ust.

- Spokojnie, Mark! - wybełkotał.

Mark podszedł do niego i zatrzymał się o cal od jego twarzy. Piers miał reputację kobieciarza, on zaś nie miał pojęcia, jaki potrafi być wredny. Jak z pozoru dobrze wychowany człowiek może zmienić się w obleśną bestię? Znowu uwierzył w czyjeś dobre cechy, by się potem gorzko rozczarować.

- Nie. To ty się uspokój - wycodził, powstrzymując wściekłość. - Nigdy więcej się u mnie nie pokazuj, ani w domu, ani w biurze. W poniedziałek poszukam sobie nowego prawnika.

Piers skubał krawat, chwiejąc się na nogach.

- Posłuchaj no - wybełkotał - mógłbym cię pozwać o napaść!

- Owszem. Ja zaś mógłbym poinformować schowanych w krzakach przed domem paparazzi, że kompletnie pijany dobierałeś się do mojego gościa. Kancelarii Blackthorn i Webb z pewnością przyda się trochę rozgłosu, nie uważasz?

Piers odwrócił się i bez słowa powlókł w stronę domu. Gdy już się oddalił, Mark zwrócił się do Ellie.

- Bardzo mi przykro. Czy wszystko w porządku?

- Tak. - Drzenie głosu zdradzało jej prawdziwy stan.

- Nieźle go zaprawiłaś tym obcasem!

- Powinien pan był go ostrzec, że ze mną nie ma żartów - odrzekła z szerokim uśmiechem.

Dłoń Marka automatycznie powędrowała do miejsca, gdzie Ellie ugryzła go przed kilkoma tygodniami. Wtedy nie uważał tego za zabawne, teraz jednak roześmiał się serdecznie. Ku jego zdziwieniu, Ellie się do niego przyłączyła. Najpierw cicho, chichotliwie, jakby starała się powstrzymać, lecz już po chwili śmiała się równie głośno jak on. Im dłużej patrzył na jej błyszczące oczy i zarumienione policzki, tym bardziej pragnął przeciągnąć ten miły moment. Kiedy się śmiała, pozbywając się surowego spojrzenia i marsowej miny, była... Nie, nie piękna, przynajmniej nie w tym sensie, w jakim definiowały to słowo media i branża filmowa. A jednak nie mógł przestać się w nią wpatrywać.

Zresztą wcale nie musiał odwracać wzroku. Ellie śmiała się tak przeraźliwie, że poróżnowiała i zacisnęła powieki. Za moment przewróci się i zacznie tarzać. Było to takie urocze! Jakby na potwierdzenie tych obaw, zamachała ręką, by chwycić równowagę. Niechcący trąciła go w ramię i śmiech zamarł jej na ustach.

Umknęła spojrzeniem w bok, założyła niesforny kosmyk za ucho, skąd natychmiast się wymknął. Zapragnął odgarnąć go z jej twarzy, lecz zbyt często czynił tak w przypadku innych kobiet. Nie chciał powielać banalnych zachowań. Zerknęła na niego i wyraźnie zadrżała.

- Zmarzłaś.

Zaczęła protestować, ale zdjął marynarkę i okrył jej ramiona. Kolejna banalna kalinka, chyba nie da się dziś tego uniknąć. Robił tak dziesiątki razy, było to jedno z jego ulubionych posunięć w erotycznej grze.

Nie, z Ellie jest inaczej. Ona naprawdę zmarzła, on zaś próbuje jej pomóc. Nie bawił się w żadne gierki. Ellie wydawała się inna, jakby nieoszlifowana, nie umiał jej na razie zaklasyfikować.

Spojrzał na rozświetlone okna swego domu. Najwyższa pora dołączyć do gości. Ellie poruszyła się nieznacznie, a wówczas uświadomił sobie, że nadal trzyma w dłoniach klapy marynarki. Powinien się od niej odsunąć, lecz Ellie patrzyła na niego zamglonym wzrokiem, tak jak wtedy, gdy przyglądała mu się z podestu schodów.

Podobało mu się to spojrzenie. Nie było w nim śladu sztuczności czy zachłanności. W jego świecie była to rzadkość. Miała taką minę, jakby ujrzała coś, co ją zaskoczyło, a czego nikt inny nie dostrzegł.

Podczas przyjęcia była wyraźnie znudzona. W pewnym momencie spojrzał na swoich gości jej oczami, przeświecił niczym rentgenem cały ten blichtr i pokłady próżności, ujawniając prawdziwą naturę tych ludzi. Nie był to satysfakcjonujący obraz.

Tu natomiast wszystko wydawało się wprost nieznośnie prawdziwe. Serce tłukło mu się w piersi, i to wcale nie wskutek wcześniejszego sprintu przez trawnik.

Ellie była tak cudownie blisko, z uczuciami wypisanymi jasno na twarzy. Czuł na szyi ciepło jej oddechu. Chwycił mocniej klapy marynarki i przyciągnął ją do siebie;

dzieliła ich ledwie molekuła powietrza. W zwykłej sytuacji pocałowałby ją bez chwili wahania, teraz wszakże postanowił zaczekać.

Nie miał tylko pewności, na co.

Świat skurczył się do maleńkiej przestrzeni między ich wargami, przynajmniej Ellie odnosiła takie wrażenie. W tym momencie nie chciała wspominać przeszłości ani zastanawiać się nad przyszłością, pragnęła jedynie istnieć, dając ponieść się uczuciom.

Miała dość wiecznej kontroli i walki z sobą samą. Choć raz pragnęła się poddać impulsowi, zamiast się mu opierać. Chciała właśnie tego.

Z wahaniem dotknęła ustami warg Marka, kładąc mu rękę na torsie dla złapania równowagi. Przez sekundę stał nieruchomo, a jej serce zamarło, lecz potem przyciągnął ją do siebie i wsunąwszy dłonie pod marynarkę, oddał jej pocałunek. Wszystkie kobiety, które wciąż się koło niego kręciły, roztopiłyby się od żaru owego pocałunku. Bodźce, z którymi Ellie starała się walczyć w ciągu minionych tygodni, raptem ożyły, ona zaś nie zamierzała się tym razem opierać.

Był to pocałunek tęsknoty i pragnienia.

Nie musiała myśleć ani wysilać się, by sobie coś przypomnieć. Nie było to zresztą możliwe, gdy dłonie Marka pieściły jej skórę na plecach. Musnęła końcami palców lekki zarost na jego szczęce. Jęknął i przytulił ją mocniej; czuła granie mięśni jego ramion. Z odchylną głową poddawała się pieszczocie jego warg, wsunąwszy palce w jego krótko ostrzyżone włosy, czując, jak drży.

Dochodzący z kuchni przenikliwy brzęk tłuczonego szkła przeciął nocną ciszę. Oboje zastygli; chwila, którą dzielili, rozpadła się bezdźwięcznie jak odłamki szkła. Patrzyli na siebie, nie wiedząc, co powiedzieć czy zrobić, zupełnie jak wtedy... Mark gorączkowo szukał odpowiedniego słowa.

- Ellie... - bąknął niepewnie.

No powiedz coś! krzyczał na siebie w duchu. Zawsze tak łatwo ci to przychodzi!

Ellie wpatrywała się w niego bez tchu, szeroko otwartymi oczami. Zanim zdążył pozbierać myśli, puściła się biegiem do domu. Nie takiej reakcji oczekiwał. Ona naprawdę jest nieprzewidywalna. Całując kobietę, spodziewał się raczej czegoś odwrotnego.

Pobiegł za nią i wpadł do kuchni. W progu niemal zderzył się z kelnerem, tracąc cenne sekundy. Słyszał plaskanie jej bosych stóp, kiedy wybiegła z kuchni i skierowała się do tylnych schodów.

Ominął kolejnego kelnera i pognał za nią, gdy wtem otoczyła go grupka gości.

- Mark!

Stała przed nim Kat, ubranie miała w nieładzie. Patrzyła na niego błagalnym wzrokiem.

- Mój chłopak...

Po jej policzku stoczyła się łza. Mark zerknął na schody, potem na Kat i znów na schody. Z doświadczenia wiedział, że musi się zająć dziewczyną. Zacisnął szczęki i powiodł ją za sobą do gabinetu. Nie miał wyjścia, musiał pozwolić jej się wypłakać na swoim ramieniu.

Wprowadził Kat do środka i zamknął drzwi. Pocieszał się, że Ellie daleko nie ucieknie. Może lepiej zostawić jej kilka minut do namysłu, zanim pójdzie jej poszukać. Z kwaśną miną pozwolił Kat opowiedzieć smutną historię i zmoczyć mu koszulę łzami.

Ellie siedziała po ciemku, trzęsąc się mimo włączonego ogrzewania. Nie mogła znieść myśli o zapaleniu światła i widoku fotografii Sama na nocnym stoliku. Ciekło jej z nosa, oczy miała pełne łez. Z głośnym siąknięciem przewróciła się na materac i skuliła w kłębek. Oskarżała się o to, co zrobiła. Gdyby pozwoliła sobie tylko trochę pofantazjować, to jeszcze pół biedy. Działanie jednak było czymś konkretnym. W tym wypadku godnym potępienia.

Na wspomnienie dotyku warg Marka robiło jej się na przemian zimno i gorąco. Jak mogła zrobić coś takiego zmarłemu mężowi? Swojemu cudownemu, kochanemu, wier-nemu Samowi? Była pewna, że sprawiłaby mu radość, znajdując sobie kogoś i na powrót układając życie, ale Mark Wilder? Najgorszy typ kobieciarza, jaki w ogóle istniał?

W poszukiwaniu odpowiedzi wodziła wzrokiem po ciemnym suficie. Dziś wieczorem Mark nie zachowywał się jednak jak podrywacz, wręcz przeciwnie. Wysłał sprośnego Piersa do diabła, wziął jej stronę, nie usiłował wykorzystać sytuacji, kiedy była wyjątkowo bezbronna. Pozwoliłby jej odejść, gdyby tylko zechciała...



Być może nie chodziło wcale o Marka, lecz o jej decyzję, by nauczyć się żyć na nowo. Może jakaś część jej jaźni, o której sądziła, że dawno pogrzebała ją razem z Samem, znów obudziła się do życia. Nadal jest przecież młodą kobietą. Jej odpowiedź na awanse przystojnego mężczyzny była naturalna.

Nie zabrzmiało to przekonująco. Odkąd poznała Marka, krew żywiej krążyła w jej żyłach. To on budził w niej ciepłe uczucia. Gdyby chodziło tylko o zaspokojenie od dawna tłumionego pożądania, nie odrzuciłaby zakusów Piersa, który przecież także był przystojny.

Jak zwykle wróciła myślami do Marka. Co właściwie zamierzała z nim zrobić? Wiedziała, że go pociąga, ale to zauroczenie nie potrwa długo. Tacy mężczyźni jak on nie zwykli trwale wiązać się z kobietami w jej typie. Po kilku miesiącach jego pociąg do niej się wypali, ona zaś znów zostanie sama, w dodatku bez pracy.

Nie zależało jej na romansie, flircie czy przygodzie. Zdecydowanie się na związek nie oparty w pełni na uczuciu uwłaczałoby wspomnieniu Sama. Byłoby to jak zastąpienie szczerego złota zwykłym tombakiem. Sprawa z Markiem nie ma przyszłości, wiedzie donikąd.

Pociągnęła nosem i lekko wyprostowała kończyny. Czemu ją interesował? Wszak nie z powodu majątku, sławy, uroku. Za chłopięcym czarem dostrzegła dzisiaj coś więcej, jakąś mroczną tajemnicę, która budziła w jej wnętrzu znajome emocje.

Czując słaby aromat jego wody po goleniu, podniosła głowę, jakby spodziewała się go ujrzeć, lecz pokój był pusty. Nagle spostrzegła, że ma na sobie jego marynarkę. To stąd ten zapach. Wspomniała, jak nałożył ją na jej ramiona. Jak na mężczyznę, któremu kobiety ścieliły się u stóp, wydawał się nieco niepewny, nawet zagubiony. Nie tego się spodziewała.

Z jękiem zakryła twarz dłońmi, choć nikt nie mógł zobaczyć jej rumieńca.

Jak rano spojrzy mu w oczy?

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Mark zszedł na dół krótko po dziesiątej. Zamierzał wstać wcześniej, lecz zasnął dopiero o świcie i śniły mu się męczące koszmary, w których uciekał przed prześladowcami. Wolał się wyspać i mieć świeży umysł, gdy będzie roztrząsał wydarzenia wczorajszego wieczoru.

Nie musiał długo szukać Ellie; z kuchni dochodził cudowny zapach potraw, więc skierował się tam, czując, że ślinka cieknie mu z ust. Serce waliło mu jak młotem. Czyżby się denerwował?

Wieczorem w gabinecie godzinami wspominał wydarzenia poprzedniego dnia. Nie doszedł zresztą do żadnych wstrząsających wniosków. Zatrudnił gosposię, która umie bosko całować. W zasadzie to wszystko.

Zwyczajnie ją pocałował. To w końcu nic takiego.

Gdyby tak było, rzekł sobie w duchu, serce nie tłukłoby mu się teraz w piersi jak ryba wyrzucona na piasek. Ellie mu się podoba, lecz inaczej niż inne kobiety. Zupełnie inaczej...

Była to szalenie niepokojąca myśl. Ellie, podobnie jak wcześniej Helena, należy do delikatnych istot pięknych w swej bezbronności jak orchidea lub motyl. To czyni ją jeszcze bardziej niebezpieczną. Mark wiedział, że nie może ryzykować sympatii do takich kobiet, gdyż wtedy obudzi się w nim przemożna potrzeba opiekuńczości. Tę słabość potrafił na razie przekuć w sukces; dzięki niej był najlepszym menedżerem w branży muzycznej. Zachwyceni klienci słono mu za to płacili.

Kobieta tego rodzaju wysie z mężczyzny wszystko, całą tę czułą opiekuńczość, a potem obdarzy nią kogoś innego, kto nie będzie jej przypominał o dawnym bólu i pustce, jaką czuła.

Nie chciał tego przeżywać na nowo. Z nikim. Będzie musiał sprawić, by jego stosunki z Ellie wróciły do normalności, na płaszczyznę profesjonalną.

Skoro umiał namówić słynną diwę, by łaskawie zrezygnowała z chęci posiadania w swojej garderobie wody mineralnej pobłogosławionej przez tybetańskiego mnicha, w cenie trzystu funtów za butelkę, z pewnością i z tym sobie poradzi. Potem wymyśli jakiś

powód, by na kilka dni wyjechać do Londynu. To nie jest ucieczka, po prostu tak byłoby lepiej dla nich obojga.

- Dzień dobry - rzucił wesoło, wchodząc od kuchni. Ellie stała do niego tyłem, mieszając coś w dużym rondlu. Nie odwracając się, odpowiedziała oschle na jego powitanie. - Co robisz?

Zabrzmiało to żałościwie jak na kogoś, kto słyszał z błyskotliwości i ciętych ripost. Ellie nie odezwała się, nie przestając mieszać w garnku.

- Ślicznie pachnie. Co to jest?

- Postanowiłam przyrządzić dużą ilość sosu bolońskiego, podzielić go na mniejsze porcje i zamrozić. Przyda się do szybkich kolacji - odrzekła sztywno. - Czy chcesz, żebym przerwała i podała ci śniadanie?

- Nie trzeba. Potrafię sobie zrobić kawę.

Z kubkiem parującego napoju usiadł przy okrągłym stole z widokiem na ogród. Ellie mieszała drewnianą łyżką mielone mięso wołowe. Jedynym dźwiękiem w zgęstniałej raptem atmosferze kuchni były odgłosy potrawy gotującej się na ogniu.

- Posłuchaj, Ellie... - zaczął, chrząkając.

- Mark, ja wiem, do czego to zmierza.

- Tak? - Potarł nos grzbietem dłoni.

- Owszem. I radzę, żebyśmy się tam nie udawali.

Świetnie, a zatem są co do tego zgodni. Tylko dlaczego jego żołądek skurczył się boleśnie?

- Okej - bąknął, nie ufając sobie na tyle, by rozszerzyć wypowiedź.

Ellie zdawała się nie mieć tego rodzaju trudności.

- Jesteś moim szefem - mówiła dalej, zaczerpnąwszy głęboko oddechu. - Żyjesz zupełnie inaczej niż ja, podróżujesz po świecie. Ja... - Zapatrzyła się w sufit, szukając odpowiedniego określenia.

- Ależ wiem, że jestem twoim szefem, oczywiście, a ty... - Jesteś zdumiewająca? Pociągająca? Niezapomniana? Te oto słowa przyszły mu do głowy. Nie mógł ich jednak za żadne skarby wypowiedzieć.

- Jestem twoją gospożą - dokończyła z naciskiem, odrywając wzrok od sufitu.

- No tak. - Jakkolwiek odpowiedź była poprawna, to przecież nie wydawała się prawdziwa.

- Szczerze mówiąc, ty i ja to... - urwała, kręcąc głową.

- Nazbyt skomplikowane? - podsunał.

- Sądziłam raczej, że użyjesz określenia „przewidywalne” - odparła, wzruszając ramieniem - ale niech tak będzie. Jestem twoją pracownicą i uważam, że powinniśmy utrzymać naszą znajomość na gruncie zawodowym - dodała, patrząc mu prosto w oczy.

- Zgadzam się z tobą w zupełności.

Zmierzył ją wzrokiem, starając się ocenić, co się dzieje w głowie Ellie. Z jej słów wynikało, że wszystko sobie przemyślała, lecz jej ton wcale o tym nie świadczył.

- Wydajesz się zdenerwowana...

- Zdenerwowana? - Machnęła łyżką z lekceważeniem. - Ależ skąd!

- To dobrze.

Posłała mu sztuczny uśmiech i wróciła do mieszania.

- W takim razie poirytowana?

- Nie... - odparła po chwili milczenia, mieszając z większą werwą. - Absolutnie nie.

- Całą uwagę skupiła teraz na rozbijaniu łyżką mięsnych grud.

Ellie pod wieloma względami różniła się od kobiet, z którymi na ogół miał do czynienia, ale udawanie, że wszystko jest w porządku, wydało mu się dziwnie znajome.

- Ellie, przyznaję, że zachowałem się wczoraj dość impulsywnie, ale nie sędzę, że- byśmy popełnili jakieś przestępstwo. Nie zrobiliśmy nic złego.

- Ach tak? - wycodziła przez zęby.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie rozumiał jej sposobu myślenia. W rondlu głośno zasyczało, kiedy Ellie wrzuciła do mięsa pulpę pomidorową. Odwróciła się do niego z kapiącą łyżką w dłoni.

- Jesteś niemożliwy, wiesz? Żyjesz w wyimaginowanym świecie, gdzie wszystko jest doskonałe. Nie masz pojęcia o prawdziwym życiu!

Mark uważał, że całkiem nieźle radzi sobie z życiem i nie potrzebował, by ktoś ledwie mu znajomy go oceniał.

- Czyżby?

- Właśnie tak! Prawdziwi ludzie mają prawdziwe uczucia, nie możesz ich ranić jak gdyby nigdy nic! Żyjesz wedle własnych reguł, robisz, co ci się żywnie podoba, bierzesz to, co chcesz, nie bacząc na nic. Nie każdy ma taki luksus. Ty zaś marnujesz wszystko!

Coś w jej wzroku kazało mu zamilknąć, choć miał na końcu języka ciętą odpowiedź. Oczy zaszyły jej łzami, była w nich jednak zaskakująca determinacja i szczerłość.

Nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Dlaczego go oskarża? Przecież to nie on wczoraj zaczął. To ona pierwsza go pocałowała. Nie miał zamiaru ranić jej uczuć, a jeśli to zrobił, to naprawdę bezwiednie. Czuł, że zanim jej odpowie, powinien się nad wszystkim dobrze zastanowić. Ellie wykorzystała jego milczenie.

- Złóżmy to, co się wczoraj stało, na karb szampana i chwilowej utraty zmysłów, dobrze? Nie chcę stracić dobrej posady - oznajmiła nieoczekiwanie.

- Mnie zaś potrzebne szukanie nowej gosposi jak pryszcz na nosie - zgodził się z nią.

- Cieszę się, że osiągnęliśmy porozumienie - powiedziała, wyraźnie się uspokajając.

Posłała mu uśmiech, który nie sięgnął oczu, i odwróciła się do swojego rondla.

Ona ma rację, był o tym przekonany. Tyle że to wszystko... Dostyc tego. Ostatnią dekadę spędził na przekonywaniu siebie i innych, że wszystko układa się jak najpomyślniej i niczego mu nie brakuje. Równie dobrze mógł teraz uznać, że naprawdę tak jest, i zapomnieć, iż kiedyś za czymś tęsknił.

O ile zdołasz, szepnął złośliwy głosik w jego głowie. O ile ci się uda...

Ellie przyjęła z ulgą wyjazd Marka do Londynu. Niestety, w weekend znów przyjechał do Larkford. A także w następny. W ciągu tygodnia mogła się zrelaksować, cieszyć pięknem okolicy, za to weekendy były niełatwe. Panowała sztywna i niezręczna atmosfera. A choć Ellie nie spodziewała się niczego innego, to teraz, kiedy ich znajomość była zaledwie poprawna, wydawało jej się to dziwne. Taka sytuacja trwała mniej więcej od miesiąca.

Pewnego sobotniego popołudnia ukryła się w kuchni, przygotowując kolację, choć przecież miała jeszcze kilka godzin. Wołała się jednak czymś zająć i trzymać od Marka z daleka. Dziś było to łatwe. Przebywał wprawdzie w domu, ale przez cały dzień nie wy-

chodził z gabinetu. Każde z nich okupowało swoje terytorium niczym bokserzy swój kąt ringu.

Była na siebie zła, gdyż nie potrafiła kontrolować nerwowych sygnałów, które wysyłał jej umysł, gdy tylko Mark się zbliżał. Czowała się, jakby miała wbudowany radar, paznokcie miała obgryzione do żywego mięsa.

Pip. Pip. Pip. Znowu. Wiedziała, że Mark się przemieszcza. Przestała siekać cebulę i nasłuchiwała. Po około dziesięciu sekundach usłyszała dźwięk, na który czekała - kroki w holu, coraz głośniejsze.

Nie odrywała wzroku od blatu, gdy Mark wszedł do kuchni. Rozległ się warkot ekspresu do kawy, potem dźwięk płynu lejącego się do filiżanki. Szurgot nogi od krzesła na podłodze. Cisza. Włosy stanęły jej na karku. Udawaj, że go tu nie ma.

Nóż ze stukotem spadał na deskę, tak blisko, że omal nie odcięła sobie nieistniejących paznokci. Wrzuciła pokrojoną cebulę do płaskiego rondla, gdzie zasyczała jak rozłoszczona żmija. Według przepisu powinna być drobno posiekana, natomiast asymetryczne kawały w jej wykonaniu przypominały raczej wyczyny małej Chloe, dokonywane z pomocą nożyczek i papieru.

Kolejną cebulę pokroiła z wielką starannością, po czym włączyła wyciąg nad kuchenką. W kuchni było za cicho. I za gorąco. Wyjęła z miski główkę czosnku. Ostatnią. To nasunęło jej pewien prosty pomysł. Odwróciła się i popatrzyła na Marka chłodnym, jak miała nadzieję, spojrzeniem. On także na nią patrzył, siedząc przy okrągłym stole.

- Muszę jechać do supermarketu kupić kilka rzeczy, których nie ma w lokalnych sklepikach. Czy chcesz, żebym ci coś kupiła, czego nie ma na liście? - spytała z uśmiechem. Była szczerze uradowana, że znalazła taki dobry pretekst, by się wyrwać z domu.

- Nie - odparł ze wzruszeniem ramion. - Chyba nie.

Większość gospodyń byłaby zachwycona tak niewymagającym szefem, ona jednak, targana sprzecznymi emocjami, miała chęć zdzielić go w głowę dużym drewnianym młynkiem do pieprzu. Chwyliła z wieszaka torbę na zakupy.

Po minucie siedziała już w swoim samochodzie, przekręcając kluczyk w stacyjce. Nic, cisza.

- No dalej, chłopaku! - zachęciła, klepiąc deskę rozdzielczą. - Nie zawieź mnie. Dzięki tobie wyrwę się stąd na resztę popołudnia. - Spróbowała jeszcze raz, nerwowo wciskając pedał gazu. Silnik zakaszał i umilkł. Plasnęła ze złością w kierownicę. - Zdrajca!

Zabrała torbę i podreptała z powrotem do kuchni. Mark nie ruszył się z krzesła, kończąc kawę.

- Jakiś problem?

- Samochód nie chce zapalić. Pojadę innego dnia, jak już mechanik obejrzy to stare pudło.

Mark wstał, wyciągając z kieszeni kluczyki.

- Chodźmy.

- Słucham?

- Zawiozę cię.

- Nie, nie trzeba, przecież jesteś zajęty...

- Nie ma problemu - odparł z olśniewającym uśmiechem. - Czasem warto trochę oderwać się od pracy i zastanowić.

Ellie jęknęła w duchu. Zamiast ucieczki zgotowała sobie torturę. Powlokła się za Markiem do grafitowego aston martina. Z galanterią otworzył przed nią drzwi, zapewne puchnąc z dumy.

Faceci i ich zabawki. Jak brzmi ta teoria o mężczyznach z wielkimi luksusowymi autami?

Mark nie musiał odwracać oczu od szosy, by wiedzieć, że Ellie zmieniła, pozycję i wyglądała teraz przez boczną szybę. Był świadom jej każdego ruchu, każdego westchnienia. Mowa jej ciała była dla niego całkowicie jasna: odejź!

Ostatnio sporo myślał o tym, co do niego wykrzyczała tamtego pamiętnego wieczoru. Może miała rację, a on naprawdę żyje w „wymyślonym świecie”, gdzie jest słońcem, wokół którego wszyscy krążą? Czyż nie szedł przez życie - i związki - nie oglądając się za siebie?

Lecz przecież nie zawsze tak było. Jego myśli jak zwykle powróciły do Heleny. Chętnie zostałby przy niej aż po grób. Czyż nie przyrzekł tego wobec setek świadków?

Naiwnie myślał, że ona odczuwa to samo, okazało się jednak, że inaczej pojmowała lojalność. Była z nim, dopóki był jej potrzebny, a kiedy to on najbardziej jej potrzebował, po prostu od niego odeszła.

Był na to zupełnie nieprzygotowany. Wydawało mu się, że sprawy zmierzają w dobrym kierunku, miał zamiar nawet poruszyć z nią temat posiadania dzieci.

Jego pierwsza firma zbankrutowała, popełnił bowiem niewybaczalny błąd, inwestując w niewłaściwy zespół. Wierzył w nich, zastawił dom, wyczyścił konta bankowe, aby tylko umożliwić im start w branży. Przyjaciele ostrzegali go, ale zlekceważył ich dobre rady. Nie zastrzegł w kontrakcie procentu od ogółu zysków. Płyta sprzedała się nieźle, ale tournée koncertowe pochłonęło olbrzymie pieniądze, gdyż muzycy wyprawiali kosztowne przyjęcia, wynajmowali helikoptery, wszystko na jego koszt. Wkrótce musiał ogłosić bankructwo. Niewiele pomogła świadomość, że sam był sobie winien, zaufał bowiem ludziom, z którymi się zaprzyjaźnił.

Sądził, że chłód Heleny wynika z niepokoju o pieniądze. On sam był przerażony. Wiedział, jakie to ryzyko pozwać przed sąd znany zespół rockowy, lecz przecież nie miał wyjścia. W obliczu trudności Helena go opuściła. Przywykła do łatwego życia, którego nie mógł jej dłużej zapewnić. Oznajmiła, że potrzebuje przestrzeni, i wyniosła się z domu, by „stać na własnych nogach”.

W krótkim czasie związała się ze znanym producentem telewizyjnym, który obdarzył ją luksusem. Gdy Mark wygrał sprawę w sądzie i odbudował firmę, próbowała do niego wrócić, ale nie odbierał jej telefonów. Skoro nie potrafiła go wspierać w ciężkich chwilach, gdy mieszkał w ciasnym mieszkanku, żywiąc się fasolą i grzankami, opuszczony przez tak zwanych przyjaciół, to nie zasługiwała na jego uczucie.

Z ponurą satysfakcją stwierdził, że postawiła na bardzo złego konia. W efekcie rozwodu sąd przyznał jej połowę długów Marka i żadnego innego majątku. Gdyby trochę poczekała, byłaby bogata.

Zaczęło mżyć, krople na przedniej szybie zbierały się w wąskie strumyczki. Mark włączył wycieraczki.

Skreślił z głównej szosy na węższą drogę lokalną i starał się skupić na jeździe. Aston prowadził się jak marzenie. Zazwyczaj nie miał okazji się tym cieszyć, pędząc jak



najszybciej z punktu A do B, skoncentrowany na celu, nie na samej podróży. Obecność Ellie sprawiła, że zapragnął smakować nowe doświadczenie.

Wyprawa do supermarketu okazała się dość zabawna. Na neutralnym terytorium oboje zachowywali się znacznie swobodniej. Ellie wyraźnie się rozluźniła. Z przyjemnością kroczył za nią alejkami, pchając przed sobą wózek, podczas gdy Ellie zdejmowała z półek pudełka i słoiki.

Mżawka przeszła w deszcz. Trzeba się będzie pospieszyć, jeśli chcą dotrzeć do domu, zanim się rozpada na dobre. Zadowolony pomruk silnika skłaniał do szybszej jazdy. Mimo wijącej się drogi auto gładko pokonywało znajome zakręty. Mark zerknął na Ellie. Siedziała ponuro zapatrzona przed siebie.

Wyszedł z kolejnego zakrętu na długi prosty odcinek i dodał gazu. Silnik ryknął z ochotą. Aston kochał pęd.

Niebo pociemniało, rosnące wzdłuż drogi krzaki dzikiej róży zdawały się z zadróżką wyciągać gałęzie w stronę samochodu. Powietrze we wnętrzu nisko zawieszono sportowego wozu było naelektryzowane. Zmieniając biegi, niemal spodziewał się trzasku odzianych w dżinsy ud Ellie, gdyby musnął je wierzchem dłoni. Z zarośli z szumem skrzydeł poderwał się bażant. Ellie wydała zdławiony krzyk i kurczowo chwyciła fotel. Przyhamował i zwrócił się do niej, chcąc ją uspokoić.

- Mark... - szepnęła.

- Wszystko w porządku. Niepotrzebnie...

- Mark, błagam!

Przestraszył się nalegania w jej głosie. Jej twarz zastygła w wyrazie przerażenia. Spojrzał przed siebie i zobaczył traktor wyjeżdżający z zasłoniętej przez krzaki bramy. Mocniej wcisnął hamulec i zwolnił na tyle, by go przepuścić, po czym wyminął go i znów przyspieszył.

- Zatrzymaj samochód - powiedziała cicho.

- Już prawie jesteśmy w domu.

- Powiedziałam: zatrzymaj samochód. Chcę wysiąść.

Mark zrobił zdziwioną minę, gdy zaczęła gmerać przy klamce, i szybko zjechał na pobocze. Zanim astra zdążył stanąć, odpięła pas i chwiejnie wysiadła, wdychając haustami wilgotne powietrze. Trzęsa się jak osika.

Mark siedział jak sparaliżowany, zbyt zdumiony, by się poruszyć. Po chwili doszedł do siebie i pobiegł za Ellie. Wkrótce ją dogonił; szła niezbyt przytomna wiejską drogą. Chwyił ją za nadgarstek i mocno pociągnął. Sięgała mu głową do brody i przez chwilę, zanim go nie odepchnęła, stała wtulona w niego.

Powinien był pamiętać, że jak na kobietę tak drobną była zaskakująco silna. Zdołał ją znowu złapać, nim chwiejnie odbiegła środkiem drogi.

- Poprosiłam, żebyś zatrzymał samochód! - krzyknęła z furją.

Wymachiwała wolnym ramieniem, usiłując mu się wyrwać.

Mark gapił się na nią. Co się z nią dzieje? Dlaczego tyle krzyku o jeden głupi traktor? Nie potrafiąc sobie tego wytłumaczyć, trzymał ją delikatnie, by nie wybiegła na jezdnię. Udało jej się częściowo wyrwać, choć drugą rękę trzymała na sercu, oddychając z trudem.

Wtem ciszę rozdarł dźwięk klaksonu i Mark pociągnął Ellie do siebie, usuwając się z drogi nadjeżdżającego auta. Oparł się plecami o kłujące gałęzie przydrożnych krzaków i ciężko dyszał. Ellie stała z twarzą wciśniętą w jego tors. Czuł, że spazmatycznie otwiera i zamyka usta, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Zacisnęła dłonie w pięści i uderzyła go w klatkę piersiową, raz, potem drugi, coś mamrocząc.

Jak zwykle nie miał pojęcia, co się tu rozgrywa, jedno natomiast było pewne: czy była tego świadoma, czy nie, na pewno go teraz potrzebowała. Musiała się na kogoś rozłościć, komuś wyzalić. Czuł, że jest w tym momencie najlepszym z możliwych kandydatów.

Nie zamierzał psuć tego niewczesnymi żartami. Musiał podjąć wyzwanie, stanąć twarzą w twarz z jej gniewem i rozpaczą. Miał tylko nadzieję, że temu sprosta. Wciąż jeszcze go odpychała, lecz teraz z jej oczu płynął strumień łez. Przelykała z trudem ślinę, szlochała i płakała, nie mogąc przestać. Lekko przestraszony, szeptał jej do ucha słowa pociechy, czekając, aż emocje się wypalą. Wreszcie łkanie osłabło, a ona wtuliła moką

twarz w jego sweter. Sesje pocieszania Kat przyniosły wymierny rezultat; potrafił się teraz odpowiednio zachować, z czego był niepomiernie dumny.

Jakże pragnął zrobić coś, co złagodziłoby jej ból. Może jeśli będzie ją trzymał dostatecznie mocno i długo, jakiś rodzaj potrzebnego jej spokoju i ukojenia przesączy się przez dzielące ich bariery w mistycznym procesie osmozy. Pragnął jej zadośćuczynić, napęlić ją zbawczą mocą, która pozwoli jej obronić się przed światem.

Wsunął palce w jej włosy, myśląc żałośnie, jak niewiele ma jej do ofiarowania. Gdyby zechciała, mogłaby go tyle nauczyć. Miała mnóstwo determinacji, była w stanie jasno określić, czego pragnie. Umiała żyć, podczas gdy on potrafił jedynie olśniewać.

Niebo nabrało stopniowo lawendowoszarego odcienia. Serce Marka odmierzało sekundy, gdy Ellie stała wraz z nim nieruchomo, oddychając głęboko. Łagodnie uniósł jej twarz z odcisniętymi na mokrych czerwonych policzkach śladami swetra. Ujął ją delikatnie w dłoń i zajrzał głęboko w załzawione oczy. Tak bardzo chciał ją pocieszyć.

Ellie patrzyła na niego bez mrugnięcia. Widział znużenie, rozpacz, smutek, lecz także lśnienie czegoś więcej. Jej oczy błagały go o nadzieję.

- Powiedz mi wszystko - wyrzekł miękkim głosem.

Nie było to żądanie, lecz prośba. Usta Ellie zadrżały, na grzbiet jego dłoni spadła samotna łza. Nie odrywając od niej spojrzenia, zaprowadził ją do auta i posadził na brzegu fotela, ukucnąwszy przed nią i nie wypuszczając jej rąk z obu dłoni. Ellie przymknęła oczy, wydając drżące westchnienie. Przygryzła wargę. Widział, że szuka odpowiednich słów.

- To był atak paniki - rzekła zachrypniętym od płaczu głosem. - Czasami mi się to zdarza. Przepraszam.

Nie był pewien, czy zadowoli się tym wyjaśnieniem. Wiedział, że to nie wszystko. Miała mu coś ważnego do powiedzenia i musiała powiedzieć to teraz. Zatem czekał. Przez kilka minut żadne z nich się nie poruszyło.

- Mój mąż i córka zginęli w wypadku właśnie takiego deszczowego dnia - szepnęła w końcu ze spuszczoną głową.

- Tak mi przykro...

Nie przyszło mu na myśl nic mniej banalnego i nieadekwatnego do sytuacji, lecz przynajmniej był szczery. Naprawdę było mu przykro. Żałował tych, co przedwcześnie stracili życie, a także tego, iż dowiedział się, że była kiedyś mężatką. Uścisnął jej rękę.

- To było prawie cztery lata temu. Jechaliśmy z zakupów do domu. Kupiłam Chloe parę różowych błyszczących pantofelków. Nigdy ich nie włożyła...

Mógł jedynie milczeć i pozwolić jej mówić.

- Policja powiedziała, że kilku młodych chłopców wybrało się na przejażdżkę. Zachęcali się nawzajem do szybszej jazdy. Wypadli z zakrętu, było czołowe zderzenie. Na śliskiej drodze nie sposób było wyhamować.

Co za straszna tragedia. Ciekaw był, jak się o tym dowiedziała. Czy policja zjawiała się na jej progu? Wtem przypomniał sobie, co powiedziała wcześniej. „Jechaliśmy z zakupów”.

- Ty także byłaś wtedy w samochodzie?

Pociągnęła żałośnie nosem i podniosła oczy, w których malował się ból nie do ukojenia.

- To ja prowadziłam.

Mark przytulił ją do piersi. Czuł na policzku jej słone łzy, w nozdrzach miał świeży zapach szamponu Ellie. Przymknął oczy i wdychał jej miłą woń. Jeden z loków łaskotał go w czubek nosa.

- Tutaj - powiedziała.

Początkowo nie pojął, co miała na myśli, dopóki nie ujęła jego dłoni i nie przyłożyła z prawej strony głowy. W miejscu gładkiej kości pod skórą i włosami wyczuł spore zagłębienie. Pogładził jej włosy, bardzo delikatnie.

- Policja orzekła, że nic nie mogłam zrobić - wyszeptała. - Ja niczego nie pamiętam. Pozostał wielki znak zapytania. Nigdy się tego nie dowiem. A gdybym jednak zareagowała szybciej, inaczej skrzyła kierownicą?

Nie mógł wydobyć głosu. Nie wyobrażał sobie, że... Uświadomił sobie nagle swoją głupotę. Popisywał się przed nią, pędził krętymi drogami błyszczącym autem. To on przywołał jej straszne wspomnienia.

Ellie oparła się o niego z westchnieniem. Przylegała do jego ciała tak doskonale, jakby została w tym celu wyrzeźbiona. W ciągu ostatnich tygodni po wielokroć fantazjował, że trzyma ją w objęciach. Teraz było inaczej, bardziej po koleżeńsku, ale wiedział, że gdyby uległ pożądaniu, zepsułby wszystko nieodwołalnie.

Poruszyła się i uwolniła dłonie, by otrzeć twarz.

- Przepraszam - wyszeptała.

- Nie, to ja przepraszam. To stało się przeze mnie...

- Nie mogłeś przecież wiedzieć. - Z jej oczu znikł wyraz irytacji, z jakim patrzyła na niego od dnia przyjęcia.

- Ale teraz już wiem i bardzo cię przepraszam za wszystko, co mogło sprawić ci przykrość. Wiedz, że nie zrobiłbym tego celowo, choć czasem mogę ci się wydawać idiotą.

Wykrzywiła lekko wargi, nie odrywając od niego wzroku. Jego serce natychmiast przyspieszyło rytm. Wstał, przytrzymując się drzwi, nagle dziwnie słaby.

- Jedźmy do domu.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

W salonie nie paliły się lampy. Ogień w kominku rzucał na ściany długie cienie. Mark siedział w ulubionym fotelu, smakując na języku aromatyczne ciepło ulubionej whisky i czując przyjemne pieczenie w gardle. Słysząc było jedynie trzaskanie polan i tykanie zegara. Ellie położyła się wcześniej spać, on zaś po raz kolejny roztrząsał popołudniowe wydarzenia.

Dojechali do Larkford w kompletnym milczeniu, jednak nie czuli się przy tym niezręcznie. Nastąpiło uspokojenie po burzy. Nie zamierzał tego zakłócać.

Gdy zajechali przed dom, wieczorne niebo przybrało już barwę głębokiego szafiru. Mark wniósł zakupy, nie pozwalając Ellie sobie pomóc, i zaproponował jej, by wzięła długą gorącą kąpiel. Nie potrafił jednak pochować zakupów w szafkach, nie wiedząc, gdzie jest miejsce makaronu, herbaty i ryżu. Ubyła ledwie niewielka część produktów, gdy usłyszał odgłos stóp Ellie na posadzce. Zastała go z paczką spaghetti w rękach.

- Na górze po lewej - powiedziała cicho.

- Dzięki - odrzekł, zamykając jedną szafkę i przechodząc do innej.

Schował makaron i odwrócił się. Ellie miała na sobie różowy frotowy szlafrok, odrobinę dłuższy z jednej strony. Mokre włosy pociemniały i przylgnęły do czaszki, lecz niektóre co bardziej zdeterminowane loki próbowały już od niej odstawać. Twarz miała zaróżowioną, spojrzenie jasne. Wyglądała cudownie.

Podeszła do niego. Serce waliło mu tak głośno, że obawiał się, iż Ellie to usłyszy. Uśmiechała się ciepło, choć z wahaniem. Patrzył na nią oczarowany.

- Dziękuję ci, Mark. Za wszystko. - Wspięła się na palce i złożyła na jego policzku lekki pocałunek. - Dobranoc - powiedziała łagodnie i ruszyła do drzwi.

- Dobranoc - odrzekł drewnianym głosem, rozpamiętując dotyk jej warg na twarzy.

Po wielu godzinach nadal czuł mrowienie w tym miejscu. Upił łyk trunku i końcami palców musnął policzek. Przynajmniej rozumiał teraz, czemu jej oczy przybierają czasem wyraz bezbrzeżnego smutku. Ellie jest ścigana przez duchy utraconej rodziny. Przeszła przez niewyobrażalne cierpienie, a mimo to znalazła w sobie dość siły, by się pozbierać i żyć dalej.

Myśląc o swoim życiu w ostatniej dekadzie, oskarżał się o tchórzostwo i egoizm. Obawiał się kogokolwiek do siebie dopuścić, zraniony przez chciwą żonę, która wypaczyła jego postrzeganie kobiet. Zamiast pogodzić się z tym i iść naprzód, bogatszy o to smutne doświadczenie, wystrzegał się możliwości ponownego zranienia, pokrywając wrażliwość sardonycznym humorem i pozorami beztroski.

Ellie jest inna. Dzielna. Jak można się podnieść i dalej żyć po tak strasznej tragedii? Dopił whisky i długo siedział nieruchomo. Ellie wydawała się krucha, lecz była chyba najsilniejszą osobą, z jaką się zetknął w życiu.

Spacerując jak zwykle po ogrodzie, Ellie powtarzała sobie, że musi być ostrożna z życzeniami. Przez te wszystkie miesiące w Barkleigh marzyła o przestrzeni, o tym, by stanąć na własnych nogach...

Teraz miała przestrzeń i świeże powietrze. Przez pewien czas doskonale się z tym czuła, była pewna, że zdołała uciec samotności wnikającej w tkanki jej ciała, lecz ona podążyła za nią.

Przez większość czasu nadal było cudownie, na przykład teraz, gdy poranne słońce delikatnie pieściło jej skórę. Wędrowała po znajomym ogrodzie z kubkiem herbaty w dłoniach, ale czegoś jej brakowało...

Potrząsnęła głową. Co za głupie myśli.

Trudno się dziwić, że życie wydawało jej się nieco samotne. Kilka dni po pamiętnej wyprawie do supermarketu Mark zniknął, tłumacząc się jakimś bardzo ważnym kontraktem, i nie widziała go już od ponad dwóch tygodni. Przypuszczała, że mieszka w swoim londyńskim apartamencie, odbywając niekończące się spotkania. Nie chciała spekulować, jak spędza wieczory i noce. Widok Tamizy z okien jego mieszkania musi być oszałamiający, zwłaszcza w ciepłe letnie wieczory pełne wielkowiejskiego zgiełku, lecz ona bez chwili wahania wybrałaby wiejskie życie w Larkford.

Zdjęła japonki i chodziła po chłodnej od rosy sprężystej trawie, wzdychając z rozkoszy. Nie mogła się otrząsnąć z wrażenia, że Mark celowo trzyma się od niej z daleka. Może czuł się zakłopotany jej wyznaniem? Wiele osób odczuwało przy niej skrępowanie. Ona sama przecież także pragnęła uciec od tego uczucia. A teraz dopadło ją ono w najmniej spodziewanym momencie.

Rozejrzała się po ogrodzie. Pnące róże, którymi wysadzona była główna ścieżka, pachniały oszalamiająco. Jeśli Mark chce się trzymać z daleka, nie może mu tego zabronić. Żałowała jedynie, że tak rzadko ma okazję docenić niezwykle piękno swej wiejskiej posiadłości. Ogród oferował codziennie nową ucztę dla oka, zakwitały nowe kwiaty, rozwijały się młode liście. Być może Mark nie należy do grona zagorzałych miłośników przyrody, lecz z pewnością mógłby tutaj odpocząć.

Sprawdziła pocztę i znalazła od niego mejla. Tym razem zamiast zdawkowej odpowiedzi postanowiła dodać kilka słów podziwu dla Larkford - o feerii barw pnących róż, uginającej się pod ciężarem pąków glicynii, mglistych letnich porankach przechodzących w gorące popołudnia. Już miała wyłączyć komputer, gdy przyszedł kolejny mejl. Sądząc, że pochodzi od Ginny informującej ją o postępach ciąży, zamierzała przeczytać go jutro, po sekundzie jednak otworzyła okienko.

Mark musiał być zalogowany, to on bowiem przysłał jej list.

*Cześć, Ellie, dzięki za info na temat postępu prac hydraulicznych w Twoim mieszkaniu. Jestem pewien, że ucieszysz się z własnego kawałka przestrzeni, gdy już się tam przeniesiesz. Możesz je urządzić, jak Ci się podoba.*

*Cieszę się, że glicynia zdumiewa, a róże są szczęśliwe!!! Nie wiedziałem, że jesteś nie tylko gosposią, ale i poetką!*

*Mark*

Żartowniś! Pisząc odpowiedź, uśmiechała się pod nosem.

*Okej. Skoro już wiem, że mój szef jest Filistynem, nie będę mu zawracała głowy kolejnymi obserwacjami!*

Mark nie mógł tak tego zostawić. Rozgorzała mejlowa bitwa. Ellie głośno się śmiała, gdy wreszcie, uznawszy swoją porażkę, wyłączyła laptopa. Może Mark wcale jej nie unika, lecz naprawdę jest zajęty.

W następnym tygodniu komunikowali się często za pomocą mejli, już nie tak zdawkowych i oficjalnych jak dotąd. Prócz mnóstwa wykrzykników Mark dodawał



zawsze emotki z dwukropków i średników, a Ellie zapomniała o swojej obietnicy i wdała się w kwieciste opisy domu w porze zmierzchu.

Mark z kolei żartował z niej i często ironicznie demaskował jej liryczne zadęcie, powodując w niej wybuchy śmiechu i równie kąśliwe odpowiedzi. Ellie uznała, że to bardzo przyjemne komunikować się z kimś, kto nie przypomina jej bez ustanku, jaka była przed wypadkiem, akceptuje ją taką, jaka jest obecnie, i nie usiłuje nad nią dominować. Mark nie był teraz wyłącznie jej szefem; stał się dodatkowo sojusznikiem.

Wiedziała jednak, że nie mógłby być dla niej nikim więcej. Zresztą tego właśnie chciała. Naprawdę jej to odpowiadało.

Londyn o tej późnej nocnej porze prezentował się wspaniale. Mark przycisnął czoło do szklanej tafli ściany i podziwiał leżące w dole miasto. Różnobarwne światła odbijały się w czarnej wstędze rzeki, migocząc niezmordowanie. Gdy kupował ten apartament, był pewien, że ów widok nigdy mu się nie znudzi, ostatnimi czasy jednak nabrał chęci na zmianę. Może kupić mieszkanie przy zasypanej opadłymi liśćmi uliczce w Fitzrovii albo odremontowany magazyn w dokach?

Postanowił się oderwać od tych rozważań i obejrzeć jakiś program w telewizji, ale szybko się znudził, więc poszedł do sypialni i rzucił się na łóżko, które zaprotestowało z jękiem. Wziął do ręki leżącą na nocnej szafce książkę: „Przewodnik po urazach głowy”. Został mu jeden rozdział do końca.

Już wszystko rozumiał - dlaczego Ellie czasem zapomina słów, sprawia wrażenie nieobecnej. Po prostu doznała uszkodzenia mózgu. Zresztą to i tak nie miało znaczenia. Poza tym nie był pewien, czy wszystkie jej nieprzeciętne cechy charakteru można było przypisać odniesionej ranie. Ellie jest po prostu osobą wyjątkową.

Doczytał książkę do końca i odłożył ją na szafkę.

Dziś wieczorem jeszcze nie sprawdzał poczty. Przyłapał się na tym, że wyczekuje często nietuzinkowych mejli od swojej gosposi. Sprawiały, że czuł się bliżej Larkford, będąc na bieżąco z wiejskimi ploteczkami i porą kwitnienia kwiatów. Teraz zakwitły dzwonki.

W ostatnim mejlu Ellie napisała, że natknęła się na błękitny dywan tych kwiatków w rzadkim lasku na krańcu posiadłości. Choć Mark nie należał do miłośników progra-

mów o ogrodnictwie ani spacerów na łonie natury, nagle zapragnął przystanąć w cieniu starego dębu i na własne oczy podziwiać ten prześliczny widok. Chciał, by Ellie odwróciła się do niego z uśmiechem, jakby dzieliła z nim wielki sekret...

Nie. Nie wolno mu myśleć w ten sposób. Bardzo lubił Ellie. Darzył ją szacunkiem. Do licha, ta dziewczyna go pociąga, i to wyjątkowo silnie, ale nie wolno mu podążać tą drogą. Już od dawna do tego stopnia nie podziwiał kobiety. Szalenie niebezpieczna sprawa. Wszystko to, co myślał o Ellie... No cóż, mogłoby to stanowić podstawę dobrego związku - przyjaźń, zgodność charakterów, świetna chemia. Nie mógł jednak podjąć aż takiego ryzyka. Zresztą nie chodzi tylko o niego. A co z Ellie? Z pewnością nie jest dla niej odpowiednim mężczyzną. Ona nie potrzebuje kogoś, kto przypuszczalnie sprawi jej jeszcze więcej bólu.

Zeskoczył z łóżka i podjął przechadzkę po pokoju. Po prostu nie mógł usiedzieć w miejscu. Zdarzało się tak za każdym razem, gdy jego myśli zaczynały krążyć wokół Ellie. Dlatego właśnie trzymał się z dala od Larkford. Obawiał się swoich własnych uczuć, z których zdawał sobie sprawę coraz wyraźniej. Mimo to jego myśli wypełniała Ellie. Metoda zejścia jej z oczu nie zadziałała.

Zatrzymał się przed przeszkloną ścianą w salonie i położył dłoń na tafli. Dlaczego tkwi w tej klatce? Znudzony, spragniony innego widoku? Skoro trzymanie się na dystans nie zadziałało, mógł równie dobrze pojechać do swojego wiejskiego domu i cieszyć się atmosferą lata. Tego najgłębiej pragnął.

Pora wyjść do ogrodu i podziwiać szafirowe dzwonki.

W sobotni poranek dochodzące z oddali bicie dzwonów kościelnych obudziło Ellie. Zaspana, podświadomie liczyła uderzenia. Osiem. Wkrótce będzie musiała wstać. Przez zasłony przesączały się ciepłe promienie słońca. Wsparta o poduszki, przecierała zaspane oczy i ziewała. Zwlokła się z łóżka, rozsunęła zasłony i chłonęła urodę letniego poranka. Ponieważ prace hydrauliczne zostały już zakończone, przeprowadziła się do swojego mieszkania nad stajniami. Okno małej kuchenki wychodziło na wykładany kostką dziedziniec, za to z sypialni miała piękny widok na ogród. Wyglądał wspaniale w blasku słońca, tak żywo i kolorowo. Obserwując uwijające się wśród klematisów

pszczoły, czuła się okropnym leniuchem. Jeden z owadów schował się cały w purpurowym kwiecie.

Odwróciła się od okna, rozważając rozmaite pomysły na lunch. Promień słońca odbił się od stojącej na parapecie ramki z fotografią. Przystanąła, żeby się jej przyjrzeć. Została zrobiona na przyjęciu z okazji czwartych urodzin Chloe. Dziewczynka uśmiechała się szeroko niczym kot z Cheshire, mając przed sobą wielki tort z zapalonymi świeczkami. Za nią siedzieli promiennie uśmiechnięci rodzice.

Wszyscy troje wyglądali na takich szczęśliwych. Ellie pocałowała swój palec i musnęła nim usta roześmianej córki. Pamiętała, że tamten dzień był cudowny.

Wspomnienie nie napawało jej już bólem. Z uśmiechem przypominała sobie nieustanny pisk małych dziewczynek i przenikliwą woń dymu ze zdmuchniętych świec. Chloe przez całe przyjęcie podskakiwała z radości, nawet wtedy, gdy pochłaniała wielki kawał tortu. Pamiętała rozanielony uśmiech Sama, gdy wieczorem przywołał ją, by spojrzeć na uśpioną córkę. W pokoju panował nieopisany bałagan. Mała zasnęła na sofie z buzią umazaną czekoladą, ściskając w lepkich rączkach lalkę, którą dostała w prezencie.

Do niedawna z trudem mogła patrzeć na to zdjęcie. Mimo to trzymała je na parapecie jako rodzaj kary, choć przecież nie była pewna, na czym polegała jej wina.

Na tym, że przeżyła, choć oni odeszli. Od śmierci męża i córeczki żyła tak, jakby stąpała do tyłu, zbyt przerażona nieznanym terytorium przed sobą, by odwrócić się i spojrzeć w przyszłość. Po omacku przedzierała się przez każdy dzień, usiłując go przeżyć bez kolejnej katastrofy. Za wszelką cenę należało unikać bólu. Żadnego ryzyka. Żadnego przywiązania. A to oznacza brak miłości. Uśmiech znikł z jej twarzy.

Co Sam pomyślałby o jej obecnym życiu?

Dobrze wiedziała, co by na to powiedział. Jej twarz zastygła w posępnym wyrazie. Niemal widziała jego wpatrzone w siebie z przyganą fiołkowe oczy, ocienione charakterystycznym niesfornym lokiem na czole.

„Trzeba żyć pełnią życia, Ellie”. Tak jej zawsze powtarzał. Mimo że wychowała się w kochającej rodzinie, była nieśmiałym dzieckiem, jednak Sam potrafił dostrzec jej inne cechy. Zaprosił ją do gry w berka, podczas gdy reszta dzieci ignorowała milczącą dziewczynkę przyglądającą się im z drewnianej ławeczki. Tak bardzo chciała się do nich

przyłączyć, ale bała się, że uciekną ze śmiechem. Sam podszedł i łagodnie pociągnął ją za sobą. Już po chwili biegła za nim, zarumieniona, z wiatrem we włosach, śmiejąc się na całe gardło.

Westchnęła i włożyła szlafrok. Bardzo długo tkwiła w okowach cierpienia i żalu, lecz po incydencie w astone Marka czuła się inna, wyzwolona.

Początkowo obecność Marka napełniała ją niepokojem i zdenerwowaniem. Ku jej zdumieniu okazał się zdolny do wrażliwości i zrozumienia. Nie miał jej za złe przesadnej reakcji wtedy w samochodzie, przeciwnie, potrafił ją pocieszyć. Tak dobrze czuła się w jego ramionach.

Byle jak zawiązała szlafrok. Tamten incydent zmienił jej relację z Markiem. Pewne granice zostały przekroczone. Zauważyła także zmianę zachowania Marka, odkąd znów częściej przebywał w swojej wiejskiej posiadłości. Przyjeżdżał niemal co wieczór, choć jazda z Londynu nie należała do przyjemności. Był dowcipny, zabawny, często prowokował ją do śmiechu.

Nie próbował się z nią drażnić, uważając zapewne, że jest na to zbyt wrażliwa. Szkoda, gdyż była gotowa się przekonać, czy istnieje druga strona impulsów i emocji, jakich doświadczała wskutek wypadku, czy miłość, radość i szczęście mogą być jeszcze bardziej barwne niż kiedykolwiek przedtem.

Ellie przygotowywała właśnie sałatę na lunch, gdy usłyszała parkujący przed domem samochód. Odgłos silnika przypominał jej auto Marka. Dziwne. Sądziła, że Mark będzie spał do późna, wczoraj bowiem brał udział w przyjęciu. Po chwili wszedł do kuchni.

- Wcześniej wstałeś - powiedziała, oceniając ilość octu winnego w butelce, by ukryć miotające nią uczucia. Za każdym razem, gdy wchodził do pokoju, brakowało jej tchu, ale nie była to reakcja czysto fizyczna.

- Mam sporo pracy - odrzekł. - Kupiłem ci coś - dodał, wręczając jej papierową torbę.

Zdziwiona wyjęła z niej małe błyszczące pudełko z palmtopem. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- To dla mnie? - wyjąkała.

- Możesz mieć przy sobie wszystkie notatki i terminy - rzekł z powagą. - Ma też funkcję nagrywania. Może ci się przydać, gdybyś chciała szybko coś zanotować, zanim zapomnisz.

Ellie czuła, że zaraz się rozplacze. Dokładnie takiej pomocy potrzebowała.

- Dziękuję - powiedziała drżącym głosem. - Jak na to wpadłeś?

Miał niepewną minę. Gdzie się podział beztroski Mark? Ach tak, poczytał sobie o jej przypadłości... Jego gest był szalenie miły, lecz zarazem potwierdzał, że Mark traktował ją jak biedaczkę z uszkodzonym mózgiem, która nie poradzi sobie bez nowoczesnej technologii.

Chciała się na niego rozzłościć, ale nie potrafiła. Zapakowała palmtop i odstawiła na blat.

- Przyjrę się temu później.

- Podoba ci się? Myślisz, że się przyda?

- Oczywiście - odrzekła z uśmiechem.

- Co przyrządzasz? - zainteresował się Mark, biorąc do ręki czerwony strąk papryczki.

- Sałatę po wietnamsku. Makaron sojowy, kurczak, warzywa, sos z ostrego chili - wyrecytowała jak kucharz w kiepskim telewizyjnym show.

- Wezmę prysznic - oznajmił, kierując się do łazienki.

Przeczesał włosy palcami i zanim zdążyła go ostrzec, potarł palcem kąciki zmęczonych oczu.

Jęknął i zacisnąwszy powieki, ukrył twarz w dłoniach. Podbiegła i posadziła go na kuchennym stołku. Łzy płynęły mu po twarzy.

- Musisz spróbować otworzyć oczy - poradziła. - Jeśli pomrugasz, łzy wypłuczą sok chili. Inaczej będziesz tu tkwił godzinami i tylko pogorszysz sprawę!

Mark, jęcząc, kiwał się na stołku. Wtem przyszła Jej do głowy pewna myśl. Wyszorowała ręce, podeszła do niego i delikatnie spróbowała otworzyć mu powieki. Drgnął i zajęczał.

- Sprawiałam ci ból?

- Nie...

- Oko jest trochę zaczerwienione. Zamrugaj kilka razy. Czy nadal cię kłuje?

- Już przechodzi, dzięki, siostró - odrzekł, próbując żartować.

Nagle uświadomiła sobie jego bliskość, ciepło emanujące z ciała. Mark siedział w swobodnej pozie, ona zaś stała tuż przy nim, między jego rozstawionymi nogami. Powinna się natychmiast cofnąć. Mark patrzył na nią zażwawionymi oczami.

- Miałeś sporo szczęścia, bo tylko musnąłeś oko. Gdybyś wtarł więcej soku... - wybąkała.

Ujął ją za rękę, a wówczas popełniła błąd i spojrzała mu w oczy. Patrzyły na nią tkliwie.

- Dziękuję ci, Ellie - rzekł poważnie.

- Nie ma za co. - Niemal wyrwała mu dłoń. - Wezmę teraz ten prysznic. - Ruszyła do drzwi.

- Ellie? - zawołał za nią z rozbawieniem. - To ja miałem wziąć prysznic, zapomniałaś? Ty robiłaś sałatę.

Wetknęła głowę do kuchni i oblizła wargi z niepewną miną. Mogła mieć tylko nadzieję, że Mark złoży jej zmieszanie na karb kłopotów z pamięcią, nie domyślając się, iż to on jest jego przyczyną.

Na drżących nogach wróciła do krojenia czosnku. W napięciu nasłuchiwała, kiedy Mark wreszcie opuści kuchnię. Po chwili wbiegał już na górę po dwa stopnie naraz, pogwizdując wesołą melodyjkę.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Mark!

Wzdrygnął się i spojrzał na swoją asystentkę Nicole, która mierzyła go groźnym spojrzeniem.

- Co się z tobą dzieje? W ogóle mnie nie słuchasz!

Mark przestał się gapić przez okno i popatrzył na nią skruszony. Nicole zajęła miejsce naprzeciw niego, on zaś, udając, że robi coś ważnego, zajął się bazgraniem w notesie. Po chwili spojrzał na nią błagalnym wzrokiem szczenięcia, wiedząc, że się temu nie oprze.

- Przepraszam, słucham cię pilnie.

- Pytałam, co z teledyskiem. Do wyjazdu na Karaiby zostało pięć dni, a Kat jest w rozsypce, bo jej chłopak gdzieś się urwał. Reżyser zmienił najważniejszy plener, a stylistka nie odbiera moich telefonów.

Mark starał się skupić uwagę. Pomysł z Karaibami z wolna przeradzał się w koszmar. A on tak się cieszył na kilka dni urlopu. Jednak im bliżej było do terminu wylotu, tym mniejszą miał ochotę opuszczać Larkford. Tydzień po drugiej stronie globu oznaczał tydzień bez Ellie. Z Londynu zawsze mógł wrócić, co czynił już niemal co wieczór. Ellie zmieniła jego wiejską posiadłość w przytulny dom. Uwielbiał wracać i widzieć ciepły blask oświetlonych okien. Wchodził do środka i znajdował Ellie w kuchni, zajętą gotowaniem czegoś pysznego.

Zaczął sobie nawet wyobrażać, że na niego czeka; nie dlatego, że on jej płaci, tylko dlatego, że sprawia jej to przyjemność. Wiedział już teraz, jakie trudności w codziennym życiu musi pokonywać Ellie. Naprawdę ciężko pracowała. Może powinna wziąć sobie krótki urlop? Dom działał już przecież jak w zegarku.

- Jeśli nie będziesz słuchał, to zaraz sobie pójdę!

Krzyk Nicole przywołał go do rzeczywistości. Gdy oprzytomniał, nie było jej w pokoju. Powrócił do obserwowania gwarne go miasta i wijącej się wstęgi rzeki.

Ostatnie tygodnie były po równi piekłem i niebem. Sztywna i zasadnicza Ellie zmieniła się w osobę ciepłą, zabawną, opiekuńczą. Uwielbiał przesiadywać w kuchni i

przyglądać się, jak gotuje, przeciągał posiłki, by jak najdłużej przebywać w jej towarzystwie. Wciąż jeszcze była nieśmiała, lecz dodawało jej to tylko uroku. Kochał jej absolutną oryginalność i wyjątkowość.

Mark wstał z miejsca. Popołudniowe słońce zalewało szyby okien ciepłym blaskiem. Przez chwilę przetwarzał objawienie, które nagle na niego spadło.

Pokochał ją. Ta krucha osóbka miała nad nim niemal nieograniczoną władzę.

Przypuszczał skrycie, że i ona nie jest wobec niego obojętna, nie zamierzał jednak przyspieszać biegu wydarzeń. Obserwował płynący po niebie samolot, który zostawiał za sobą białą pierzastą smugę. Czuł, że nie zdoła znieść niepewności co do uczuć Ellie.

- Potrzebuję znaku! - szepnął, czekając, żeby coś się wydarzyło.

Samolot trwał na swoim kursie. Na niebie nie ukazał się żaden napis. Lekkie obłoki nie udzielały żadnych komentarzy.

Wlokąc się wieczorem w korku do Larkford, Mark rozważał swoją sytuację. Próbował sobie wyobrazić konsekwencje romansu z Ellie, ale uznał, że brak mu zdolności prorokowania. Ewentualna wzajemność z jej strony nie zmieniała faktu, że ją kochał. Będzie musiał wykazać cierpliwość. Poczekać na znak.

Skręciwszy na podjazd, odczuł wyraźne napięcie. Jego puls przyspieszył, gdy wbiegał po schodach od frontu. Wszedł do holu i poczuł cudownie kuszący aromat. Udał się jego śladem do kuchni. Ellie rozpromieniła się na jego widok.

- Właśnie miałam nakładać! Przyjechałeś dziś później niż zwykle.

- Korki - mruknął zdawkowo, nie spuszczając z niej wzroku.

Wyjęła talerze i mu je podała.

- Przed godziną dzwoniła twoja asystentka. Powiedziała, że wróci do pracy dopiero wtedy, kiedy ją wezwiesz.

Mark uznał, że będzie trzeba zaprosić Nicole na lunch, przyda się pewnie także bukiet kwiatów. Bez asystentki z pewnością sobie nie poradzi.

- Co jest na kolację?

Ellie otworzyła piekarnik i odczekała chwilę.

Zarumieniona - najpewniej od żaru - odrzekła z uśmiechem:

- Zapiekanka pasterska.



Mark omal nie upuścił talerzy. Wzniósł oczy do góry i w duchu wypowiedział dziękczynienie.

Ellie kupowała kilka drobiazgów w wiejskiej drogerii, gdy zadzwoniła jej komórka. Rzut oka na wyświetlacz powiedział jej, że to Mark.

- Halo?

- To ja. Jesteś zajęta? Chciałbym coś pilnie z tobą omówić. - Bez dalszych wyjaśnień zakończył rozmowę.

Ellie zapłaciła i udała się do Larkford.

W domu panowała niczym niezmacona cisza. Przypuszczając, że Mark siedzi w gabinecie, odłożyła zakupy na blat, zrzuciła obuwie i bosą pobiegła na górę. Gdy wsunęła głowę przez niedomknięte drzwi, ujrzała, że Mark rozmawia z kimś przez telefon. Zaskładała dyskretnie, na co pokazał jej gestem, że ma wejść i usiąść.

Siadając naprzeciw niego na wygodnym skórzanym krzeselku spostrzegła mimochodem, że lakier na paznokciach jej stóp kłóci się z kolorem dywanu. Mark zakończył rozmowę i spojrzał jej w oczy.

- Chciałbym przedstawić ci pewien pomysł. Pod koniec tygodnia lecę na Karaiby, a moja asystentka, bez której sobie nie poradzę, zachorowała na gripę. Potrzebuję kogoś na jej miejsce.

- Czy ktoś z biura nie może jej zastąpić? - spytała Ellie, studiując swoje paznokcie.

- To raczej niemożliwe. Wszyscy są zajęci nowym zespołem, płyta ma się ukazać pod koniec tygodnia. Nie mam już żadnych wolnych pracowników.

Ellie uśmiechnęła się pod nosem. Biedny Mark, nie ma już komu rozkazywać? To musi być okropne. Gdy podniosła wzrok, na jego wargach igrał chytry uśmieszek.

- Prawie żadnych - dodał z naciskiem.

Nie podobał jej się ten jego lisi uśmiech. Czowała się zagubiona, schwytna w pułapkę, a jego oczy śledziły ją z uwagą. Potrząsnęła głową.

Odpada! Nawet o tym nie myśl!

Mark pokiwał głową i nagle zerwał się z fotela. Ukucnął przed nią i chwycił ją za rękę.

- Znam kogoś, kto mógłby mi pomóc.

Jej serce przyspieszyło. Nie mogła się skupić, patrząc w otchłań jego piwnych oczu.

- Ellie, przecież wiem, że sobie poradzisz. Charlie opowiadała mi, że pracowałaś jako asystentka szefa.

Ellie chciała odmówić, ale nie mogła poruszyć ustami. Mark patrzył na nią wzrokiem zranionego spaniela. To przed tym ostrzegła ją Charlie. Jeśli odmówi, będzie się czuła tak, jakby kopnęła bezdomnego psiaka. Mark naprawdę jest w potrzebie. Nie można zostawić go bez pomocy, prawda?

- Popatrz, jak świetnie sobie radzisz z prowadzeniem domu. - Mark kuł żelazo, póki gorące. - Szybko się uczysz, wykazujesz inicjatywę. Wiem, że to co innego, ale wierzę w ciebie. Zgódź się, proszę!

- A co z domem? - Ellie uchwyciła się ostatniej deski ratunku. - Przecież nie możemy go tak zostawić! - Oparła się wygodniej, zadowolona z wymówki.

- Rozmawiałem już z panią Timms, jej córka chętnie pomoże matce zaopiekować się Larkford przez kilka dni.

Ellie gorączkowo szukała argumentów. Ledwie zdążyła przywyknąć do nowego miejsca i nie wyobrażała sobie wyjazdu w nieznane, pomijając fakt, jak trudno będzie spędzać czas blisko Marka w tropikalnym raju. Na samą myśl o tym zabrakło jej tchu.

Wpatrywał się w nią, mając uwodzicielskim uśmiechem.

- Pani Timms pracowała tu przed tobą. Nie była ani w połowie tak dobra... i ładna. - Mrugnął porozumiewawczo, ściskając jej dłonie. - To tylko kilka dni - przekonywał. - Potrzebuję kogoś, kto przypilnuje czerwonej taśmy, podczas gdy ja będę zajęty radzeniem sobie z napadami hysterii, przy czym mam tu na myśli pannę od robienia herbaty. Kat to całkiem inne wyzwanie.

Ellie musiała się roześmiać. Podejrzewała, że Mark był zdolny przekonać ją do wszystkiego, nawet tego, że białe to w istocie czarne.

- Pomyślę o tym! - rzuciła z godnością.

W poczekalni dla pasażerów pierwszej klasy Ellie przyglądała się kołującym na płycie lotniska samolotom. Zapadał właśnie spektakularny zachód słońca. Była idiotką, sądząc, że sobie poradzi.

Odwróciła głowę i powiodła wzrokiem po odpoczywających na miękkich sofach współpasażerach. Mark był pochłonięty rozmową z Kat i resztą ekipy. Robił wrażenie rozluźnionego. Odkąd przy śniadaniu poinformowała go o swojej decyzji, zadowolony uśmiech nie schodził mu z twarzy.

Ellie z westchnieniem uderzyła lekko głową w przeszkloną ścianę. Starła się mu odmówić, ale nie potrafiła. Szalę przeważyła oczywiście niespotykana okazja darmowej podróży na Karaiby, nie miało to nic wspólnego z niechęcią do tkwienia w Larkford bez perspektywy wieczornego spotkania z Markiem. Tak przynajmniej myślała rano. Marzenia o leżeniu pod palmami w kolorowym sarongu i japonkach zderzyły się z rzeczywistością zgiełkliwego lotniska.

Nie miała pojęcia, że będą podróżować z Kat i „jej ludźmi”. Natychmiast schowała się do swej żółwiej skorupy. Kat wydawała się miła i bardzo młoda. Ellie przyjrzała się reszcie ekipy. Wysoki, dobrze zbudowany facet w ciemnych okularach był pewnie ochroniarzem. Dziewczyna o krótkich białych włosach stylistką albo wizażystką. Reszta stanowiła zagadkę.

Młodzieniec z kolczykiem w nosie skończył coś opowiadać i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Ellie obserwowała Marka spod przymkniętych powiek. Zaśmiewał się razem z innymi.

W samolocie nadal zastanawiała się, co właściwie robi wśród tych ludzi. Latała już wcześniej i zapamiętała kiepskie jedzenie oraz brak miejsca na nogi. Szampan i głębokie obszerne fotele nie były jej dotąd znane. Czowała się jak oszustka. Za chwilę zostanie poproszona o przejście do klasy ekonomicznej, gdzie jej miejsce. To nie jest jej świat. Popełniła błąd, sądząc, że wśliznie się tu za Markiem jak do siebie.

Ułożyła się wygodnie w wielkim fotelu i przymknęła oczy. Ocknęła się, gdy o jej policzek otarło się coś miękkiego i lekko wilgotnego. Nie otwierając oczu, strzepnęła to coś ręką.

- Au!

Z trudem otworzyła powieki i skupiła spojrzenie na majaczącym tuż przed nią niewyraźnym kształcie. Mark lekko wydał wargi.

- Dlaczego trzymasz się za nos? - zapytała.

- Próbowałem cię obudzić, a ty mnie walnęłaś.

- Nie walnęłam, tylko trzepnęłam, a to różnica. Czemu miałeś nos przy moim policzku?

Mogłaby przysiąc, że Mark się zaczerwienił.

- Chciałem tylko... Nieważne. Lądujemy za pół godziny. Pomyślałem, że zechcesz się przygotować.

Przeciągając się, zerknęła przez okno. Na zewnątrz panowała nieprzenikniona czerń.

- Która godzina?

- Minęła północ według czasu miejscowego. Zarobiliśmy kilka godzin snu.

- Przydałby mi się cały tydzień.

- Ślicznie wyglądasz tuż po obudzeniu - rzekł z uśmiechem.

Ellie prychnęła i przejrzała się w lusterku. Tak jak myślała, tusz rozmazał się w kącikach oczu. Jej zdaniem wyglądała raczej jak straszdyło.

- Potrzebujesz okularów - odparła i sięgnęła po chusteczkę.

- Pozwól, że ci pomogę.

Wyjął chusteczkę z kieszeni, przytrzymał jej brodę i delikatnie wytarł tusz. Starła się, jak mogła, nie mieć przy tym żalostnej miny. Gdy się nią zajmował, czuła się mniej zagubiona. To drobne zdarzenie nadało ton reszcie podróży. Gdy zabrała bagaże z taśmy, Mark czekał już z wózkiem. Dopilnował, by wsiadła do limuzyny i zameldowała się w recepcji hotelu.

Od dawna nie czuła się tak bezpieczna. Jego opiekuńczość dodała jej otuchy. Nie musi się na razie o nic martwić, a już zwłaszcza o siebie. Jakże kusząca była perspektywa zapomnienia o rychłym powrocie do domu. Co zabawne, to przecież jej płacono, by dbała o niego, nie zaś na odwrót.

Zadrzała, gdy po jej stopie przemknął kolejny pajak. Gdy zdarzyło się to po raz pierwszy, omal nie zemdląła. Zdołała się opanować tylko dzięki temu, że kamery kręciły pierwsze sceny i nie chciała ich popsuć wrzaskiem i bezładną bieganiną. Choć bała się, że wybuchnie, udało jej się przybrać obojętną minę i wytrwać na miejscu.

Z westchnieniem przeczesła wilgotne, lepiące się do czoła włosy. Cała ekipa znajdowała się na skraju idyllicznej zatoki, gdzie plaża łączyła się ze skałami. Ellie skryła się wśród bujnej roślinności stykającej się ze śnieżnobiałym drobnym piaskiem. Niestety, mieszkają tu także pająki. Choć napawały ją obrzydzeniem, nie mogła już wytrzymać w palącym słońcu, potrzebowała cienia. Dopiero po przyjeździe do hotelu Mark wyjawiał jej, że lato na Karaibach jest okropnie gorące i wilgotne. Większość turystów przybywa tu w zimie.

Stojąc po kolana w wodzie, Kat śpiewała swoją piosenkę. Ellie wyobrażała sobie, że wskakuje w szumiące białogrzywe fale. W rzeczywistości tkwiła w dusznym cieniu palmy, nudząc się jak mops.

Ubranie przyłgnęło do jej spoconej skóry. Tęskniła za klimatyzowanym hotelowym pokojem w otoczeniu tropikalnych ogrodów. Pragnęła wykonywać pracę, na której się znała: faksować, wkładać papiery do niszczarki. W jej oczach pojawił się złowrogi błysk. Najchętniej przybiłaby coś zszywką do czoła Marka.

Nie, to nie fair. Dręczyła ją zmiana strefy czasu. Ponadto od dziecka nie lubiła tropikalnych upałów.

- Cięcie! - krzyknął reżyser, wstając ze składanego fotela.

Muzyka ucichła, lecz Ellie znała ją na pamięć, więc skoczna melodia nadal tłukła się po jej znękanej głowie. Reżyser wykrzykiwał dalsze instrukcje.

- Baz, chcę mieć zbliżenie piasku. Jerry, sprawdź ostatnie ujęcie, czy nadal mamy dobre światło. Kat, kochanie, czy możesz podejść do tamtej skały? - Kat posłusznie przebrnęła we wskazane miejsce. - Postaw na niej stopę. Świetnie.

Ellie podziwiała tę dziewczynę. Od wielu godzin cała ekipa tkwiła na rozświetlonej plaży. Na miejscu Kat już dawno zanurkowałaby w morzu. Spodziewała się po przylocie odpoczynku pod palmami, ale wszyscy od razu rzucili się do pracy. Żadnych drinków w hamaku. Tu naprawdę czas był pieniądzem.

- Playback!

Krzyk reżysera zabrzmiał jak wystrzał, przestraszone ptaki poderwały się do lotu. Ellie sprawdziła notatki. Nie miała już nic do zrobienia.

Czas niemiłosiernie się dłużył. Słońce zmierzało ku zachodowi. Kilka razy zmieniali położenie, co oznaczało niekończące się sprawdzanie oświetlenia i ustawienia kamer. Potem Kat tysiąc razy wykonywała swoją piosenkę, to na zbliżeniu, to z oddalenia. Ellie zaczynała mieć powoli dość. Słońce zaszło, a Mark nieoczekiwanie wszedł do wody i objął Kat.

- Cięcie! - ryknął rozwścieczony reżyser.

Mark wyniósł Kat z wody na rękach, mierząc go ostrym spojrzeniem. Reżyser nie ośmielił się odezwać. Mark postawił dziewczynę na ziemi.

- Koniec na dzisiaj - oznajmił.

Ellie przerwała napiętą ciszę, zarzucając Kat na ramiona puszysty ręcznik. Biedaczka cały dzień stała w wodzie! Pewnie jedną połowę ciała ma spieczoną, drugą zaś pomarszczoną niczym śliwka. Zerknęła na Marka i spłonęła rumieńcem na widok malującej się na jego twarzy aprobaty.

W drodze do czekających na nich motorówek Kat wyszeptała podziękowanie. Wybrali to miejsce ze względu na całkowitą pustkę, gdyż nie docierali tutaj turyści. Mark i Kat skierowali się do najmniejszej łodzi; tuż za nimi postępował jej osobisty ochroniarz. Ellie dreptała na końcu, wciąż czując się jak piąte koło u wozu. Reszta ekipy zwijała kosztowny sprzęt.

Przybyli do niewielkiej przystani w sąsiedniej zatoce, gdzie na parkingu czekała na nich flotyła jednakowych czarnych aut. Mark pociągnął Ellie za sobą, pozwalając, by Kat i ochroniarz poszli przodem.

- Pogadam z naszym wspaniałym reżyserem. Jeśli zamierza upiec Kat żywcem na tym słońcu, to wybiję mu to z głowy.

- Zachowujesz się jak starszy brat.

- To część moich obowiązków. Muszę dopilnować, żeby teledysk powstał bez zakłóceń. Ale masz rację, czuję się jej opiekunem - dodał. - Ona ma dopiero siedemnaście lat.

Przysłonił oczy i patrzył, jak Kat wsiada do samochodu.

- To wspaniała dziewczyna. Jeśli przetrwa kilka lat bez skandali, wróżę jej wielką karierę. Nie mogę pozwolić, żeby się upiekła - zażartował.

W jego oczach malowało się prawdziwe współczucie.

Sądziła, że w pracy Mark okaże się twardszy, bardziej zdystansowany, lecz przeciwnie, wydawał się jeszcze sympatyczniejszy. Wsunął ręce w kieszenie i obserwował morze w poszukiwaniu pozostałych motorówek.

- Ostatnio miała trudny okres - zauważył. - Zaopiekuj się nią, a ja poczekam tutaj, dobrze?

Ellie potaknęła z uśmiechem. Mark także się uśmiechnął i cmoknąwszy ją po ojcowsku w czubek nosa, ruszył wzdłuż nabrzeża. Pocałunek ten przypieczętował wrażenie, jakie towarzyszyło jej od przyjazdu na Karaiby. Mimo iż nadal pracowała dla Marka, etykiety „pracodawcy” i „pracownicy” zdawały się topić w palących promieniach słońca, obnażając mężczyznę i kobietę, którzy bardzo się sobie podobali.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy Ellie dotarła do samochodu Kat, dyskretnie zastukała w szybę, zakładając, że dziewczyna być może się przebiera.

- To ty, Ellie?

- Tak. Wszystko w porządku?

- Częściowo. Możesz wejść - odparła Kat zmęczonym tonem.

Ellie uchyliła drzwi. Dziewczyna przypominała raczej wymokłego kota niż seksownego kociaka. Uśmiechnęła się ze znużeniem.

- Nie mogę rozwiązać tego supła...

- Poczekaj, pomogę ci. - Męcząc się z upartym supłem na wiązaniu stanika od kostiumu, spostrzegła zaczerwienioną skórę na ramionach. - Mimo balsamu spaliłaś się na słońcu.

- No ładnie. A przecież jutro czeka mnie to samo.

Ellie rozwiązała tasiemki i wycofała się na zewnątrz, żeby Kat mogła się przebrać.

- Reżyser każe mi pewnie nurkować z rekinami albo coś w tym rodzaju - rzekła Kat ze znużonym uśmiechem.

- Jestem pewna, że Mark się sprzeciwi.

- Mark jest super, prawda?

Ellie wolała zamilczeć z obawy, żeby się nie zdradzić. Bąknęła coś niewyraźnie, ale gdy Kat otworzyła drzwi, by ją wpuścić, na jej twarzy błąkał się porozumiewawczy uśmiech. Ellie zajęła się starannym zapinaniem pasów.

- Nie martw się, umiem dochować tajemnicy - zapewniła dziewczyna.

Mimo woli wzrok Ellie powędrował do ochroniarza za kierownicą.

- Nim też nie musisz się przejmować. Zna wszystkie moje tajemnice i nigdy ich nie wyda. Prawda, Rufus?

Rufus nawet nie drgnął ani się nie odezwał. Ellie jęknęła w duchu. Czy każdy czyta w niej jak w otwartej księdze?

- Ufam Markowi bezgranicznie - oznajmiła Kat. - Niektórzy menedżerowie wykorzystują młody talent do szczytu, a potem się go pozbywają i zabierają za następny. Mark jest inny, naprawdę się mną opiekuje. Właśnie się rozstałam z chłopakiem - dodała po chwili milczenia. - Myślałam, że był doskonały. Mówią, że miłość jest ślepa, co?

Ellie delikatnie ścisnęła ją za rękę. Kat pociągnęła nosem.

- Ciężko mi, bo codziennie widzę jego zdjęcia w gazetach. Z dziewczyną na plaży, z inną w nocnym klubie. Na premierze, rozumiesz? - Po jej policzku spłynęła łza. Kat zapatrzyła się w dżunglę za oknem. - Czasem chciałabym uciec, schować się i jakoś z tym uporać. A kiedy wydaje mi się, że jestem sama, trach! Znow jakiś obiektyw wystaje z krzaków. Już widzę te tytuły: „Kat opłakuje rozstanie”.

Ellie była bliska płaczu. Mark miał rację. Kat była świetną dziewczyną i jak na tak młodą osobę, miała naprawdę niełatwe życie.

- Mój mąż zawsze mi radził... - zaczęła ochryple.

- Jesteś mężatką! - Kat podskoczyła i wpatrzyła się w nią z uwagą.

- Byłam - odrzekła Ellie. - To długa historia. Sam zawsze mi powtarzał, że trzeba korzystać z życia. Mam naturę żółwia, najlepiej się czuję w ciepłej bezpiecznej skorupie. Ale zaczynam rozumieć, że ciepło i bezpieczeństwo mogą być straszliwie nudne i samotne. Czasem trzeba mieć odwagę, żeby żyć, nieważne, co się stanie. - Spojrzała Kat prosto w oczy. - Wyczuwam w tobie siłę. Poradzisz sobie z tym rozstaniem.



Obie kobiety objęły się, na ile pozwoliły im pasy bezpieczeństwa, a potem Kat zapatrzyła się w okno.

- Co się stało... jak to było, że... Czy wzięliście rozwód?

- Nie, mój mąż zmarł. - Ellie starała się to powiedzieć bez emocji.

Kat spojrzała na nią ze zgrozą. Podświadomie zakryła usta dłonią, choć słowa już się z nich wymknęły.

- A ja tu marudzę o facecie, który nie zasłużył na moje łzy...

- W porządku. - Uśmiech Ellie był tylko odrobinę sztuczny.

- Jak to się stało?

- Mój mąż i córka zginęli w wypadku kilka lat temu. - Ellie zerknęła na zegarek. -

Za tydzień miną cztery lata.

- Och, Ellie! - wykrztusiła Kat ze łzami w oczach.

- Nie, tylko nie zaczynaj! - Ellie przycisnęła dłoń do oczu. - No proszę, już za późno - dodała przez łzy.

- Czy Mark o tym wie? - zapytała Kat.

- O mojej rodzinie? Tak - odrzekła Ellie.

- Nie, mam na myśli następny piątek - wyjaśniła dziewczyna.

Ellie potrząsnęła głową. Auto zajechało przed hotel i obie kobiety wysiadły. Kat z zapałem przekonywała Ellie, że powinna powiedzieć Markowi o smutnej rocznicy, dopóki ochroniarz nie pociągnął jej za sobą, by sprawnie przeprowadzić przez tłumek hotelowych gości.

Ellie podążyła za nimi. Przeszli przez lobby i znaleźli się w ogrodach, gdzie Kat skierowała się do swego klimatyzowanego bungalowu z obszernym tarasem. Z oddali przekazała jeszcze bezgłośnym ruchem warg:

- Powiedz mu!

Niby co właściwie ma mu powiedzieć? Na przykład o tym, jak w pierwszą rocznicę dostała okropnego ataku paniki? W tym roku zaś czuje się inaczej, i to ze względu na niego? Miała mu tyle do powiedzenia, że lepiej chyba wybrać milczenie.

Ciągnęło ją do żółtych parasoli nad basenem. Najwyższa pora zaznajomić się z zimnym egzotycznym koktajlem z kolorową parasolką. Pomaszerowała do baru i zamówiła.

wiała trunek. Pociągnęła przez grubą słomkę łyk lodowatego płynu, śledząc nieuważnie opalone ciała, zażywające kąpieli.

Kat ma rację. Mark jest wspaniałym przyjacielem, lojalnym i opiekuńczym. Przedtem źle go oceniła, teraz zaś poznała go lepiej. Miała wrażenie, że przypomina jej to kłopoty z widzeniem, których doznała po wypadku. Przez pewien czas zauważała tylko połowę przedmiotów w polu widzenia. Co dziwne, w ogóle nie zdawała sobie sprawy, że coś jest nie tak. Czytanie sprawiało jej trudność, widziała bowiem jedynie połowę każdego zdania na stronie. Pielęgniarki pomogły jej odzyskać sprawność mózgu w tym względzie.

Dlaczego jednak chciała widzieć tylko połowę cech Marka? I to tę negatywną? Wyrobiła sobie o nim opinię, jeszcze zanim go poznała. Teraz za to postrzegała w pełni jego osobowość. A także uczucia, jakie do niego żywiła. Przyszły jej na myśl spędzone z nim chwile. Wszystko wskazywało na to, że jest w nim nieprzytomnie zakochana. Jak mogła tego nie dostrzec?

Jak w ogóle do tego doszło? Przecież Mark w niczym nie przypominał Sama. Czy można się zakochać w kimś zupełnie różnym? W kimś, kto prowadzi całkowicie odmienne życie niż ona? Czy ich związek ma w ogóle jakieś szanse? Wcześniejsza rozmowa z Kat zmieniła nieco jej postrzeganie osób sławnych i bogatych. Kat na przykład była zaskakująco normalna. Przypominała setki innych siedemnastolatek, które płaczą w poduszkę, bo zakochały się w nieodpowiednim chłopaku.

Być może wcale nie jest to niemożliwe. Może jej związek z Markiem ma przyszłość. Każdy potrzebuje miłości, bogaty i biedny, sławny i nieznany.

Wirowało jej w głowie. Za dużo rumu z sokiem ananasowym na pusty żołądek. Nie pora dalej rozważać taki ważki problem. Potrzebowała jasnej głowy - i chłodnego prysznicza.

Wrzuciła słomkę do prawie pustej szklanki i podreptała do swojego pokoju.

Stukanie do drzwi poderwało Ellie z kanapy, na której ucięła sobie drzemkę. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest i jak się nazywa. Ponowne stukanie sprawiło, że powlokła się otworzyć. Wiedziała, że to Mark, bo znowu dostała gęziej skórki z wyczekiwania.

- Proszę - zawołała, uświadamiając sobie zbyt późno, że po wyjściu spod prysznicza zarzuciła na siebie stary różowy szlafrok.

Nerwowo przyglądała mokre włosy i zebrała ciaśniej poły.

- Ja... - Mark przełknął ślinę. Gdzie się podział swobodny Mark Wilder? Wyparował w upale. Zaczął jeszcze raz. - Chciałem cię zapytać, czy masz ochotę na kolację?

- Jasne. Tak. Bardzo chętnie.

Trzeci dzień zdjęć był równie wyczerpujący jak poprzednie. Dotąd jadali kolacje wspólnie z Kat i resztą ekipy w piekielnie drogiej restauracji hotelowej. Jedzenie było smaczne, ale rozmowa niezbyt ją interesowała.

- Pójdę się przebrać - powiedziała.

Nie miała ochoty na kolejny wieczór plotek i branżowych rozmów, w których i tak nie brała udziału, lecz alternatywą było samotne siedzenie w pokoju. Przynajmniej będzie w towarzystwie Marka.

Włożyła prostą długą spódnicę i top na cienkich ramiączkach. Zerknęła na zegarek: jest wpół do piątej.

- Czy nie za wcześnie na kolację?

- Jestem na nogach od szóstej rano. Konam z głodu - odparł Mark. - A ty?

Pokiwała entuzjastycznie głową.

- Ale najpierw chciałbym ci coś pokazać.

Mark nie skierował się wcale do hotelowej restauracji. Doszedłszy do parkingu, wskoczył do dżipa z szoferem za kierownicą i czekał na nią, szeroko uśmiechnięty.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Ellie, ujmując się pod boki.

- Zabieram cię do najfajniejszego miejsca na wyspie.

Ellie zerknęła na swoją zwykłą kwiecistą spódnicę i japonki. Nie była stosownie ubrana do eleganckiego lokalu. Mark poklepał siedzenie obok siebie i posłał jej znaczące spojrzenie. Ellie wsiadła, zbyt zmęczona, by teraz wracać do pokoju i zamawiać jedzenie.

Jechali przez starannie utrzymane tereny ośrodka turystycznego, lecz po pewnym czasie opuścili je i skierowali się na pobliskie wzgórze. Droga była wysadzana palmami,

krzewami aloesu i chlebowcami. Gdzieniedzie w powiewach lekkiego wieczornego wietrzyku tańczyły grupki żółtawych orchidei.

Ellie rozkoszowała się spokojem i pięknem krajobrazu. W ciągu trzech dni zdjęciowych była niemal wyłącznie skupiona na pracy i nie miała okazji podziwiać bajkowej scenerii. Wyspa była tropikalnym rajem. Piaszczyste białe plaże, kobaltowo-turkusowe morze, łagodny przyjemny klimat.

Żałowała, że pobyt był tak krótki i już jutro znajdzie się w domu. Tak przynajmniej sądziła. Jeśli nawet Mark poinformował ją o terminie wylotu, nie pamiętała daty.

- O której musimy być jutro na lotnisku? - zapytała, przyglądając się baśniowej zatoczce w dole.

Mark nie odpowiedział od razu, a gdy milczenie się przedłużało, odwróciła do niego spojrzenie.

- Mark?

- Zamierzałem wziąć kilka dni urlopu - odrzekł, studiując widok za oknem. - Zostać tu parę dni dłużej.

To oznacza, że będzie musiała sama wrócić do domu. Na myśl o długich godzinach lotu zrobiło jej się smutno. Pokiwała sztywno głową i zapatrzyła się w przestrzeń.

- Ciekaw jestem, czy ty też chciałabyś tu jeszcze zostać? - zapytał i odchrząknął. - Na krótkie wakacje?

- Z tobą? Tylko my we dwoje?

- Tak.

Zapadło przedłużające się milczenie. Ellie miała wrażenie, że wszystko wokół nich znieruchomiło.

- Nie mam ochoty wracać do domu już jutro - dodał.

Zerknęła na niego z ukosa, serce biło jej tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Mark nie miał swojej pewnej siebie miny. Wyglądał raczej na zagubionego, ale patrzył przy tym poważnie i szczerze.

Musiała odwrócić wzrok. Bała się, że tylko sobie wyobraża to, co widziała w oczach Marka, że to jej poplątany umysł wymyśla jakieś sztuczki.

- Ja też nie.

Wszystko wokół znowu zaczęło się poruszać. Oboje odetchnęli jednocześnie, jakby dotąd wstrzymywali oddech. Po chwili poczuła muśnięcie na skórze dłoni. Nie spojrzała w dół, nie chcąc niczego zepsuć. Palce Marka splotły się z jej palcami. Poczuła, jak coś twardego w jej piersi mięknie i się roztopia.

Dżip wspinał się coraz wyżej, droga wiła się wśród kaktusów i kolczastych krzewów, które zastąpiły palmy i bananowce. W dole widać było teraz port upstrzony białymi trójkątami niezliczonych jachtów, z oddali zaś dochodziły dźwięki orkiestry.

Po chwili dżip wyszedł z zakrętu i zaparkował nieopodal starych koszar wojskowych, jeszcze z czasów panowania imperium brytyjskiego. Mark wyskoczył z auta i okrążył je, by pomóc Ellie wysiąść. Oboje podeszli do grupy zabudowań stojących na skraju stromego wzgórza. W odróżnieniu od innych zniszczonych budynków w tej części wyspy te były odrestaurowane.

Na obszernym dziedzińcu roiło się od ludzi podrygujących w takt muzyki calypso, granej przez siedzącą pod dachem orkiestrę. Mark podał Ellie plastikowy kubek jasnoczerwonego płynu. Węch powiedział jej, że to szalenie mocny poncz rumowy, który zaczęła saczyć, kołysząc się w rytm melodii.

Och, to jest o tyle przyjemniejsze niż wykwintne potrawy i rozmowy biznesowe. Właśnie tego potrzebowała. Spojrzała na Marka, który popijał poncz i uśmiechał się do niej. Jak się tego domyślił?

- Chodź! - zawołał, odstawiając pusty kubek.

- Nie umiem tańczyć - broniła się Ellie. Zwłaszcza ostatnimi czasy, gdy odróżnienie strony lewej od prawej nastroczało tyle trudności.

- Nikogo to nie interesuje - odparł Mark, ruchem głowy pokazując zapalonych tancerzy, którzy nie zwracali na nic uwagi. - Wystarczy poruszać się w miarę rytmicznie.

Roześmiała się i pozwoliła zaprowadzić się na „parkiet”, czyli nierówno ubitą glebę.

Już po chwili odkryła, że lubi taki taniec - bez żadnych reguł i kroków do zapamiętania. Należało jedynie kołysać ciałem, a najmiłsze było to, że miała bliski kontakt z Markiem. Trzymał ją mocno za rękę i wcale nie zamierzał puścić.

Tanecznym krokiem oddalili się nieco od głównego dziedzińca w stronę niskiego murku. Ellie wykonała wdzięczny piruet i przystanąła, Mark zaś nie zdążył się zatrzymać i wpadł na nią z impetem.

- Ojej!

- Mówiłem ci, że to najfajniejsze miejsce na wyspie - powiedział.

Ellie podziwiała niezwykłą scenerię. Widok zapierał dech w piersi. Słońce wisiało nisko nad horyzontem, a wybrzeże i niekończące się łańcuchy wzgórz były skąpane w łagodnym świetle. Ellie rozpoznała panoramę, jaką agencje turystyczne zamieszczały w swych folderach. To chyba najpiękniejsze miejsce na świecie. Ellie stała oczarowana, nie zwracając uwagi na bliskość Marka.

- Czy robi nam pani zdjęcie?

Młodziutka rudowłosa Angielka wyciągała do niej z nadzieją aparat. Obok niej stał wysoki chudzielec w szortach i wzorzystej koszuli.

- Jasne.

Dziewczyna rozpromieniła się i wtuliła w krzykliwą koszulę partnera.

- To nasza podróż poślubna - wyjaśniła, wpatrując się w niego z uwielbieniem.

- Wszystkiego najlepszego - powiedział stojący za plecami Ellie Mark. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że niemal się o nią ocierał.

- Wpadli państwo na ten sam pomysł co my - paplała dziewczyna. - Trzeba przyjechać wcześniej, żeby obejrzeć zachód słońca w pełnej krasie. Wciąż mamy nadzieję na zielony rozbłysk.

- Zielony rozbłysk? - powtórzyła Ellie, pstrykając fotkę.

Oddała aparat dziewczynie.

- To bardzo rzadki widok - odrzekła Angielka. - Czasami, kiedy słońce zanurza się w oceanie, widać na horyzoncie błysk zielonego światła.

- Wymaga to odpowiednich warunków atmosferycznych - dodał jej mąż. - Zjawisko ma związek z astronomiczną...

Młoda żona nakryła jego dłoń swoją.

- Kochanie, nie zanudzaj państwa teoriami - zawołała ze śmiechem, po czym konspiracyjnym szeptem dodała, zwracając się do Ellie: - Jest naukowcem i jak się rozpędzi, zaczyna wygłaszać wykład.

Ellie wyczuła, że Mark się uśmiecha, choć przecież nie mogła tego widzieć.

- Miejscowe wierzenia głoszą - powiedziała dziewczyna - że pary, które wspólnie obejrzą rozbłysk, będą się prawdziwie kochać przez całe życie. Po to tu jesteśmy, prawda, skarbie? - zwróciła się do męża.

Ellie poczuła ukłucie bezbrzeżnego smutku. Młoda para była tak sympatyczna. Ona także kiedyś wierzyła, że czeka ją wspaniała przyszłość z ukochanym. Zapragnęła podejść i uścisnąć ich oboje, szepnąć im, by cieszyli się każdą chwilą i nie tracili ani sekundy ze wspólnego czasu, los bowiem bywa okrutny. Uśmiechnęła się do nich, czując, że oczy jej wilgotnieją.

- Mam nadzieję, że uda się wam zobaczyć to zjawisko. Jeszcze raz wszystkiego najlepszego - powiedziała.

Słońce było już niebezpiecznie blisko linii horyzontu. Coraz więcej ludzi przychodziło oglądać zachód, więc Mark pociągnął Ellie nieco dalej od tłumu, gdzie widok był mniej spektakularny, ale za to byli sami. Ellie chwyciła w palce swój medalion i głaskała go, obserwując pomarańczową kulę. Mark stanął tuż przy niej i ujął ją za rękę.

Powietrze z wolna zgęstniało i zapadła niemal doskonała cisza. Wszyscy w skupieniu patrzyli na słońce. Ellie stała nieruchomo. Nie śmiała oddychać, śledząc tarczę niknącą w wodach oceanu.

Zaledwie kilka miesięcy temu była pewna, że już nigdy nikogo nie pokocha. A oto, proszę, obserwuje najczarowniejszy zachód słońca na świecie z mężczyzną, który wyrócił jej wyobrażenia na nice. Czy on odczuwa to samo? Czy to w ogóle możliwe, by dla niego było to także coś więcej niż przelotna miłość? Pragnęła wierzyć, że spojrzenie jego oczu podczas jazdy samochodem wyrażało prawdziwe uczucia, nie potrafiła jednak zaufać instynktowi.

Wiatr zdmuchnął jej kosmyk włosów na policzek. Odgarnęła go niecierpliwie, nie chcąc stracić ani sekundy z niezwykłego spektaklu. Mark jest z nią tutaj i tylko to się teraz liczy. Kto ośmiela się twierdzić, że miłość może trwać wiecznie? Ona wie lepiej niż

ktokolwiek inny, że należy się cieszyć każdą chwilą, póki jest nam dana. Może nadszedł czas, aby się poddać sytuacji i przestać wszystko analizować. Sam zawsze ją do tego zachęcał, tak właśnie postąpiła, tańcząc w hipnotyczny rytm muzyki calypso. Może pora znowu żyć prawdziwym życiem. Nieważne, jeśli wszystko nie skończy się jak w bajce: „żyli długo i szczęśliwie”.

- Patrz - szepnął Mark, nachylając się do niej.

Słońce zaszło już prawie za horyzont, widać było jedynie czerwony blask na powierzchni wody. Ellie tak się rozmarzyła, że niemal zapomniała, po co się tu znalazła. Dlaczego tak trudno jest żyć w teraźniejszości, nie rozpamiętując tego, co było, i nie żyjąc lęku przed przyszłością? Skupiła wzrok na linii horyzontu, przeczuwając, że ta chwila ma wyjątkowe znaczenie.

I wtedy to się stało.

Gdy ostatni skrawek słonecznej tarczy znikł im z oczu, na horyzoncie pojawił się szmaragdowy rozbłysk. Ellie zamarła. Zjawisko trwało ledwie sekundę lub dwie, po czym się rozwiało. Mark stał tuż za nią. W prawym uchu słyszała szmer jego płytkiego oddechu.

Poruszył się, a wówczas ona również drgnęła i obróciła się twarzą do niego. Wpatrywał się w nią bardzo długo, z powagą, niemal smutkiem w oczach, a kiedy jej umysł dostał już niemal kręćka od powtarzających się pytań, nachylił się nad nią i pocałował w usta.

Później tego samego wieczoru Ellie wyszła samotnie na swój taras. Oparta o drewnianą balustradę wpatrywała się z zachwytem w rozgwieżdżone niebo tropików. Nigdy dotąd nie widziała tylu gwiazd naraz. Światło z pobliskiego bungalowu Marka rzucało blady blask na rozkołysane palmy, lecz on sam był niewidoczny.

To był magiczny wieczór - poczynając od tamtego pocałunku. Gdy wrócili z miejsca, z którego obserwowali zachód słońca, na dziedziniec z orkiestrą, niebo nabrało aksamitnej granatowej barwy. Potańczyli jeszcze w takt muzyki, zjedli, pomagając sobie palcami, trochę pieczonego mięsa i nie przestawali się do siebie uśmiechać.



Jej relacja z Markiem definitywnie się przeobraziła, lecz żadne z nich nie poruszało na razie tego tematu, woląc cieszyć się chwilą, niż przypadkiem zepsuć wszystko słowami.

Ellie wiedziała jedynie, że nie jest dla niego przelotnym flirtem. Wiedza ta kryła się w głębi jej serca, tak samo jak wtedy, gdy już w podstawówce nabrała pewności, że ona i Sam złączą kiedyś swe losy.

Ją i Marka także łączy coś prawdziwego. Nie знаła na razie słów, którymi mogłaby to opisać. W przeciwieństwie jednak do innych sytuacji wcale się tym nie martwiła.

Kolejne dni były pasmem nieustannego szczęścia. Tak przywykła do poczucia winy, bólu i cierpienia, które ciągnęły się za nią jak kula za więzaniem, że początkowo nie umiała w pełni odczuwać tej lekkiej radości. Egzotyczne rajskie otoczenie i towarzystwo cudownego mężczyzny tylko powiększały surrealizm sytuacji.

Komu jednak jest potrzebne prawdziwe życie?

Wolała ten sen, jeśli tylko oznaczał spędzanie każdej wolnej chwili z Markiem. Jadali w niesamowitych miejscach, zarówno eleganckich restauracjach, jak i chatach nad brzegiem morza, gdzie przyrządzano najświeższe ryby. Żeglowali i spacerowali po piaszczystych plażach. Kilka razy pojechali do gwarnej St. John, niekiedy znajdowali ustronne miejsce i patrzyli na zachód słońca. Nie ujrzeli dotąd kolejnego zielonego rozbłysku, ale Ellie się tym nie przejmowała. Jeden raz z pewnością wystarczy.

Mark ją zaskakiwał. Potrafił przewidzieć jej każdy nastrój, uprzedzić każde jej pragnienie. Wiedział, kiedy ją przytulić, a kiedy dać jej trochę przestrzeni, nie czekając na niezborne tłumaczenia.

Niemal niemożliwe było powiązanie tej jego wersji z roześmianym playboyem, jakiego wiele miesięcy temu ujrzała w telewizji. On także się zmieniał. Był inny. Bardziej wolny i swobodny.

Dzięki temu jeszcze bardziej go kochała.

Nieubłaganie zbliżał się termin rocznicy wypadku, coraz bardziej absorbując jej myśli. W sobotę mieli wracać do Europy. Nie była w stanie się na razie zastanawiać, jak będzie wyglądała jej relacja z Markiem. Najpierw musi jakoś przetrwać piątek. Dopiero wtedy będzie potrafiła jasno myśleć. Gdy samolot wzniesie się w powietrze, a drzewa,

domy i samochody staną się miniaturowymi wersjami samych siebie, być może uda jej się porzucić dawne i otworzyć na nowe życie.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Mark w końcu ją wypatrzył, jak szła wzdłuż brzegu, brnąc po kostki w wodzie. Podeszedł do balustrady tarasu i skupił wzrok, by się upewnić, że to naprawdę Ellie.

Ubiegłej nocy przeszedł sztorm, a on leżał bezsennie, nasłuchując bębnienia ulewy o dach bungalowu. Silny wiatr kołysał palmami. Rankiem niebo było lekko zachmurzone, lecz powietrze rześkie i czyste.

Mark obserwował Ellie, która stojąc pod wiatr, wpatrywała się w morze nieruchomo jak posąg. Wczoraj sądził, że jego modlitwy zostały wysłuchane. Przy kolacji uśmiechała się do niego promiennie i ciepło.

Gdy zmierzali do domu, niebo pociemniało, o północy zaś rozpętała się tropikalna burza. Przytuleni siedzieli na sofie, oglądając niezwykle spektakl. Mark nie pamiętał już, kiedy ostatnio tak wspaniale się bawił.

A przecież nie znajdował się w modnym klubie, ubrany w garnitur i krawat, z kolejnym manekinem u boku. Wraz z Ellie jadł zamówioną do pokoju kolację, siedząc na dywanie i gawędząc o wszystkim i o niczym.

Podobało mu się to zwyczajne życie z ukochaną kobietą w ramionach, w ciszy przytulnego bungalowu. Z łatwością wyobrażał sobie kolejne takie wieczory i zupełnie nie potrafił zrozumieć, czego właściwie obawiał się od ponad dekady. Posmakowawszy spokoju domowego ogniska, wątpił, by mógł się bez niego obyć.

Starał się nie myśleć o słowie na „m”, lecz mimo że odganiał te myśli, nieodmienne widział oczami duszy Ellie w białej sukni, z łagodnym uśmiechem na twarzy i złotą obrączką na palcu.

Podmuch wiatru potargał mu włosy, przywracając go do rzeczywistości. Przez noc zaszła w Ellie zmiana. Rankiem była powściągliwa, nie uśmiechała się, nie zwracała na niego uwagi. Co się z nią właściwie działo? Czyżby uważnie mu się przyjrzała i doszła do wniosku, że jest w nim jedynie fałszywy blichtr? Przecież krytykowała go kiedyś za

nieumiejętność prawdziwego życia. Chciał z pasją kopnąć balustradę, lecz w porę przypomniał sobie, że jest bosy. Postanowił pójść do sypialni i się ubrać. Najwyższy czas dowiedzieć się, o co chodzi, czy ostatnie dni były jedynie ułudą, czy też nie.

Wkrótce podążał po mokrym chrzęszczącym piasku opustoszałej plaży. Ellie była jedynie plamką na horyzoncie. Wiatr unosił jej luźną koszulę. Mark przyspieszył kroku.

Nie dosłyszała, że ją dogonił. Patykiem pisała coś na mokrym piasku. Nie chcąc jej przestraszyć, zatrzymał się o kilka kroków od niej i cicho zawołał jej imię.

Przestała kreślić na piasku literę C. Serce Marka waliło jak młotem, gdy czekał na odpowiedź. Ellie podniosła głowę, lecz nie przestała wpatrywać się w piasek; dopiero po chwili zdobyła się na odwagę, by spojrzeć mu w oczy. Zobaczył, że płakała.

Przygotowane zawczasu słowa zamarły mu w gardle. W milczeniu podał jej bladą różę na długiej łodydze, którą zabrał z wazonu w pokoju. Ellie wyciągnęła rękę, po czym jej twarz się skurczyła, a po policzkach spłynęły ciche łzy. Upuścił kwiat i podszedł bliżej, zamierzając wziąć ją w ramiona, lecz mógł jedynie przyglądać się ze zgrozą, jak zgarbiła się i szlochając, opadła na piasek.

- Ellie? Ellie, co się stało?

Ukląkł przy niej i mocno ją przytulił. Starła się odpowiedzieć, ale słowa ginęły wśród łez. Cekał zatem, tuląc ją w objęciach. Wreszcie gorący strumień zamienił się w pojedyncze krople. Wysunęła się z jego ramion i wstała, otrzepując piasek.

- Przepraszam - wyjąkała drżącym głosem.

- Daj spokój. - Mark zerwał się i przyciągnął ją do siebie, głaszcząc jej potargane włosy. - Czy mogę ci jakoś pomóc?

Otarła oczy i wyprostowała się, podjąwszy najwyraźniej decyzję.

- Muszę ci coś powiedzieć. - Wzięła głęboki oddech, przytrzymując powietrze w płucach. - Dziś przypada rocznica... Cztery lata, odkąd... Sam i Chloe zginęli.

Jej ręka automatycznie skoczyła do srebrnego medalionu, którego nigdy nie zdejmowała z szyi. Mark nie musiał pytać, czyje zdjęcie zawiera. Przypuszczał to, a teraz zyskał pewność. Nie odezwał się, nie znajdując odpowiednich słów. Trzymał Ellie dalej w ramionach, kochał ją i żywił nadzieję, że to na razie wystarczy.

- Nie zamierzałam cię z tego wyłączać ani cię od siebie odsuwać - powiedziała. - Potrzebowałam tylko czasu, żeby wszystko przemyśleć. W tym roku jest inaczej. W ciągu ostatnich miesięcy tyle się wydarzyło...

Powoli otworzyła medalion i pokazała mu jego zawartość. Na jednej stronie znajdowało się zdjęcie małej dziewczynki, ślicznej blondyneczki o kręconych włoskach, zupełnie jak mama, na drugiej jasnowłosego mężczyzny z promiennym uśmiechem i bystrymi, błyszczącymi oczami. Ciężko było Markowi patrzeć na te zdjęcia, obawiał się bowiem, iż to oznacza, że Ellie nie jest jeszcze gotowa na zmianę w życiu, zarazem jednak doceniał jej odwagę, że mu je pokazała.

Ellie podniosła różę i Oberwała zewnętrzne płatki, ukazując świeży pąk. Markowi zrobiło się słabo. A jeśli Ellie nadal kocha zmarłego męża? Poczul się okropnie, że jest o niego zazdrosny. Wiedział, że nie powinien żywić tak niskich uczuć.

- To przez tę różę tak się popłakałam - bąknęła Ellie. - Różowy był ulubionym kolorem Chloe.

Znowu zapadło milczenie. Mark sądził nawet, że rozmowa się na tym zakończyła, ale Ellie podjęła wątek.

- Nie mogłam wziąć udziału w pogrzebie, byłam półprzytomna, nie chodziłam, nie mówiłam, ale matka pokazała mi zdjęcia. Myślała, że to mi pomoże. Być może miała rację. - Zapatrzyła się na ocean. - Chloe miała małą białą trumienkę ze srebrnymi uchwyty, przykrytą w całości wieńcem z różowych róż. Po wyjściu ze szpitala zasadziłam na cmentarzu krzew.

Mark czuł, że oczy mu zwilgotniały. Ellie musnęła go po policzku końcem kciuka.

- Dziękuję, że mnie tu znalazłeś. Dziękuję, że nigdy nie usiłowałeś mnie przekonać, jakie miałam szczęście, że przeżyłam. To naprawdę wiele dla mnie znaczy.

Musiał przyznać, że dotąd nie spotkał tak silnej osoby, która poradziłaby sobie z niewyobrażalną traumą. On dla odmiany był tchórzem. Świadomie zapomniał o Helenie, o miłości i oddaniu. Zresztą wcale mu to nie pomogło. Uczyniło go jedynie bardziej pustym i mniej odważnym.

Wpatrywał się w jej śliczne zielone oczy, zaczerwienione od płaczu. Ujął jej twarz w obie dłonie.

- Jesteś niezwykłą osobą, Ellie.

- Wcale się taka nie czuję - odparła. - Przez ostatnie lata głównie się bałam, a od niedawna... - Jej ciepły uśmiech sprawił, że serce zabiło mu żywiej. - Od niedawna czuję, że zwariowałam.

- Jak możesz tak mówić?

- Czy nasze pierwsze spotkanie o tym nie świadczy? - spytała, mrugając powiekami.

- Pomimo specyficznego pierwszego wrażenia - rzekł, także się śmiejąc - jesteś być może najnormalniejszą osobą, jaką znam. Przynajmniej wiesz, co jest ważne, prawdziwe. Ja o tym zapomniałem. - Musnął wargami jej usta, czując sól na języku. - Nie mam pojęcia, jak to wszystko przeżyłaś i zdołałaś się nie załamać.

- Zdarzało mi się to, dopóki nie poznałam ciebie. - Przełknęła nerwowo ślinę i zniżyła głos do szeptu. - Zapomniałam, jak cudownie może smakować życie.

- Naprawdę jesteś niezwykła. - Przyciągnął ją do siebie i dodał: - Nie widzisz tego w sobie i dlatego cię kocham.

Zastygła w jego objęciach, potem odchyliła głowę i studiowała uważnie jego twarz. Nie miał pojęcia, co z niej wyczytuje, choć żywił nadzieję, że szczerze. Ze ściśniętym sercem czekał, by się odezwała.

Jeszcze chwila i zacznie wrzeszczeć.

- Kochasz mnie? - powtórzyła niepewnie.

Mark poczuł się jak we śnie, kiedy to człowiek idzie nagi ulicą i wszyscy prócz niego to widzą. Znajoma chęć natychmiastowej ucieczki była wprost namacalna. Wobec tego mocniej wbił obcasy w piasek, jakby się zakotwiczał.

- Tak. Bardzo cię kocham.

Byłby się udusił w gęstej atmosferze, gdyby Ellie nie rzuciła mu się w ramiona, pokrywając jego twarz mnóstwem lekkich pocałunków. Nie mógł się ruszyć. Nie śmiał żywić nadziei, co oznacza jej wybuch.

Co to właściwie za dźwięk?

Ellie się śmieje. Chichocze między pocałunkami! Tylko tego potrzebował? Objął ją tak ciasno, że aż ją unióśł do góry. Ich usta się odnalazły i Mark na moment stracił po-

czucie rzeczywistości. Gdy się w końcu od siebie oderwali, promienie słońca przebiły pokrywę chmur. Spojrzał w jej rozradowaną twarz, z której uleciały już resztki żaloby i smutku. Po policzkach płynęły jej łzy, lecz z zupełnie innej przyczyny.

Wiedział, że pragnie ją kochać każdą tkanką swego ciała, by ukoić jej ból, uleczyć rany. Nie potrafił zmienić jej przeszłości, ale mógł zrobić jedno: ofiarować jej radość i szczęście na przyszłość.

Spletli palce i ruszyli wzdłuż brzegu. Co pewien czas napotykali bazgroły Ellie na piasku. C oznaczało Chloe. Mark obawiał się spotkania z S. Na razie widzieli jednak tylko C i rysunki kwiatów. Kolejnej litery nie potrafił jednak rozpoznać, mimo że wyteżał wzrok. Gdy ją odczytał, jego serce na moment przestało bić.

W obrysie serca widniało M. Słowa wyrwały się z jego ust bez udziału umysłu:

- Małżeństwo?

Co on powiedział?

Ellie poczuła przypływ rozczarowania. Mark nie zdołał się jednak powstrzymać przed niewczesnymi żartami. Już przedtem słyszała z jego ust to właśnie słowo. Wyrwała mu rękę. Jak mógł psuć taką chwilę?

- Nie kpij ze mnie, Mark. - Jeśli ma choć odrobinę rozumu, odczyta z jej słów poważne ostrzeżenie. Spojrzała na niego, spodziewając się ujrzeć jego słynny drwiący uśmiech. Twarz Marka pozostała poważna. - Mówisz serio, prawda?

Przytulił ją i całował z takim żarem, że niemal zapomniała, o czym rozmawiali.

- Oczywiście!

Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Mark zaczął ją znów całować, ale się od niego odsunęła.

- Poczekaj. Kiedy mnie całujesz, nie potrafię zebrać myśli. - Spodziewała się wybuchu śmiechu, ale nie nastąpił. Zrobiła kółko, wpatrując się w horyzont. Mark podszedł i objął ją z tyłu.

- Nad czym się tu zastanawiać? Kocham cię. Ty przecież też mnie kochasz.

- Mark, to nie takie proste!

- Ale może być. - Muskał ustami jej szyję. Czyżby? Czy szczęście może przyjść tak łatwo?

Zatem można zdjąć gwiazdkę z nieba?

Przez cztery długie lata żyła przeszłością. Dopiero ostatnio udało jej się zakorzenić w teraźniejszości. Nawet przyjęcie posady u Marka oznaczało, że ogląda się za siebie, ucieka przed duchami.

Stojąc na rajskiej plaży, zaczynała wierzyć, że przyszłość może być cudowna, a nie straszna. Wreszcie znalazła spokój. Mark był wspaniałym człowiekiem. Może powinna dać się ponieść impulsowi, w końcu bardzo chciała odpowiedzieć: tak.

- Ellie. - Nie wypuszczając jej z objęć, skłonił ją, by na niego spojrzała. - Kocham cię mocniej niż kogokolwiek na świecie. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. - Ujął jej dłonie, ucałował i przykląkł przed nią na jedno kolano.

To niemożliwe. Na pewno jej się to tylko śni. Miała jedynie nadzieję, że budzik nie wyrwie jej z marzeń zbyt wcześnie.

- Ellie, czy zgodzisz się zostać moją żoną? - zapytał, ona zaś znowu poczuła łzy pod powiekami.

Przysiadła na jego kolanie i w odpowiedzi pocałowała go czule i namiętnie.

- Czy to znaczy: tak?

- Tak - szepnęła mu prosto w ucho.

Mark zachwiał się i oboje upadli na piasek, nadal złączeni pocałunkiem. Nie wiedziała, jak długo leżeli, napawając się chwilą. Wreszcie fale przyływu zaczęły lizać jej palce.

- Mark, mam mokre stopy.

- Przeszkadza ci to?

- Nie.

Powrócił do rozkoszowania się smakiem jej ust. Nie wytrzymała dopiero wtedy, gdy woda zmoczyła jej koszulę.

- Nie możemy tu leżeć cały dzień, wiesz?

- Szkoda... - Mark przetoczył się na plecy i zapatrzył w błękitne niebo. - Już miałem nadzieję, że fala zabierze nas na bezludną wyspę i nikt więcej o nas nie usłyszy.

Wieczorem przy kolacji uświadomili sobie, że jeśli naprawdę zamierzają się pobrać, będą musieli omówić kilka istotnych szczegółów.

- Jakiego chciałabyś ślubu? - spytał Mark przy deserze, mając nadzieję, że nie będzie to tak rozbuchana ceremonia, jakiej zażyczyła sobie Helena.

- Proste - odrzekła Ellie po chwili namysłu. Zanurzyła łyżeczkę w kokosowo-rumowym musie i uniosła ją do ust, po czym znieruchomiała w połowie gestu. - Skromna prywatna ceremonia... Ty i ja w jakimś pięknym słonecznym miejscu.

- Podobnym do tego? - spytał domyślnie.

Właściwie czemu nie mieliby tutaj wrócić za kilka miesięcy? Na myśl o wszystkich przygotowaniach stracił nieco ochoty. To zniszczyłoby cudowną atmosferę, jaką udało im się wytworzyć.

- Co powiesz na ślub za kilka dni? Tu, na wyspie?

Poruszała ustami, ale nie wydobywało się z nich ani jedno słowo. Potem zmarszczyła brwi jak zawsze, gdy próbowała przetworzyć zbyt wiele informacji naraz.

- Kiedy wrócimy do domu, urządzimy wielkie przyjęcie dla rodziny i przyjaciół - dodał. Na widok jej przerażonej miny pospieszył z zapewnieniem: - Najbliższych przyjaciół, obiecuję.

- To nie jest żart, prawda?

- Ellie, za długo się kryłem, czekając na kogoś takiego jak ty. - Spojrzał prosto w jej uważne oczy. - Nie chcę już dłużej czekać.

- W takim razie oświadczasz się odpowiedniej dziewczynie, Mark - oznajmiła. - Ponieważ zawsze zgadzam się na wszystko, co proponujesz, bo nie mam sił się z tobą spierać.

Ellie patrzyła na swoje odbicie w lustrze.

- Jutro wychodzę za mąż! - wrzasnęła, śmiejąc się na głos. I jeszcze raz, i jeszcze. Opanuj się, dziewczyno, powiedziała sobie w końcu. Musisz zrobić zakupy.

Ostatnie dni graniczyły z szaleństwem. Usta bolały ją od ciągłego śmiechu. Zamiast odlecieć do domu, nadal przebywała wraz z Markiem na rajskiej wyspie, a każdy dzień jawił się wspanialszy od poprzedniego.

Oczywiście zadawała sobie pytanie, czy wszystko nie dzieje się zbyt szybko, ale nie chciało jej się tego roztrząsać. Świat jest za piękny na tak ponure myśli!



Zamierzała łąpać szczęście, póki mogła, zanim to wszystko okaże się snem. Nie chciała się bać. Nie chciała pamiętać. Patrzyła w przyszłość z Markiem u boku.

A co z przeszłością? - pytał niezmordowanie jej głos wewnętrzny. Nucąc pod nosem, przebiegła przez ogród i wpadła do bungalowu Marka. Siedział nad jakimś faksem. Na jej widok twarz mu się rozpromieniła.

- Ślicznie wyglądasz - oznajmił, śmiejąc się w podejrzany sposób.

Ellie powiodła wzrokiem po sobie i także się roześmiała. Miała na sobie wzorzystą bluzkę i spodnie od pizamy.

- Nie myślałam o stroju, kiedy się ubierałam - rzekła z porozumiewawczym uśmiechem.

- Spodnie od pizamy... hm... - Mark dał jej całusa. - Przypomina mi to nasze pierwsze spotkanie.

- Jeśli chciałbyś je w pełni odegrać - zawołała, zarzucając mu ramiona na szyję - to powinniśmy być, że się tak wyrażę, bardziej horyzontalni. - Mówiąc to, pociągnęła ich oboje na sofę. - A ty rozebrany!

- Znasz moją opinię - powiedział. - Musisz się najpierw podpisać na dokumencie, zanim będziesz mogła spróbować towaru.

- Psujesz zabawę!

- Zostało tylko dwadzieścia godzin. Przypuszczam, że zdołasz wytrzymać?

- Z trudem. - Cmoknęła go w usta. - Już się nie mogę doczekać. Czy będziemy mogli urwać się z przyjęcia?

- Obiecuję, że nie zostaniemy tam długo - odrzekł Mark ze śmiechem.

- Pięć minut?

- Najwyżej trzy. - Podeszedł do biurka i pokazał jej faks. - Trzeba dziś pojechać po zakupy. Nie możesz brać ślubu w takim stroju. Mam tutaj listę sklepów w St. John, gdzie mogłabyś kupić suknię. Potem możemy załatwić niezbędne formalności. Dostałem już wszystkie dokumenty. Aha, i mam dla ciebie niespodziankę.

Pociągnął ją za sobą do sąsiedniego bungalowu. Gdy weszli na taras, popchnął ją lekko w stronę uchylonych drzwi. Ellie rzuciła mu pytające spojrzenie, po czym weszła do środka.

- Charlie!

Charlie poderwała się z kanapy i podbiegła do Ellie, piszcząc i śmiejąc się na przemian. Objęła ją i wykrzykiwała jej gratulacje prosto w ucho. Niedźwiedzi uścisk Charlie omal nie pozbawił Ellie tchu. Poklepała przyjaciółkę po plecach.

- Nic nie rozumiem... Skąd się tu wzięłaś?

- Chyba nie sądziłaś, że opuszczę taką okazję? Mark zadzwonił do mnie z wiadomością o waszym ślubie i poprosił, żebym mu przywiozła niezbędne papiery. Jestem szalenie eleganckim kurierem! - Obróciła się na pięcie, pokazując swój strój.

- Masz szczęście, że nie dostałam przez ciebie zawału - odrzekła Ellie, wzdychając.

- Jako zadośćuczynienie życzę sobie, żebyś mi towarzyszyła przy zakupach! To w końcu obowiązek drużyny.

Przeraźliwy pisk Charlie poraził wrażliwe uszy Ellie.

Wschód słońca.

Ellie i Mark podeszli do urzędnika w chwili, gdy słońce wyłoniło się zza linii horyzontu. Uwielbiała Marka za to, że zgodził się na ślub w jej ulubionej godzinie dnia. Wschodzące słońce miało w sobie coś czystego i świeżego. Nowy start, nowa nadzieja. Światło i ciepło tam, gdzie spodziewała się ciemności.

Jej białe stopy zapadały się w miękkim piasku. W ceremonii uczestniczyło tylko kilkoro gości. Charlie i Kat jako drużyny stały za urzędnikiem. Charlie miała minę, jakby była gotowa się rozplakać ze szczęścia. Jak dobrze, że Ellie poradziła jej umalowanie oczu wodoodpornym tuszem.

Biała szyfonowa suknia Ellie tańczyła delikatnie wokół kostek. Paznokcie w odcieniu mocnego różu pasowały do wpiętych we włosy kwiatów i ślubnego bukietu. Na palcu lewej stopy błyszczał pierścionek z białego złota, подарowany rano przez Marka w zastępstwie „porządnego pierścionka zaręczynowego”, jak się wyraził. Ellie uznała, że jest piękny i nie trzeba jej innego. Nie miała na sobie innej biżuterii, nawet nieodłącznego medalionu. Założenie go dzisiaj byłoby nie fair wobec Marka.

Gdy dotarli do urzędnika, stanęli zwróceniem do siebie twarzami. Ellie nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Już raz znalazła miłość z Samem, teraz jednak zdarzył się prawdziwy cud. Nieoczekiwanie dla siebie dostała drugą szansę. Rozpoczęła się cere-

monia, lecz wpatrzona w Marka Ellie ledwo słyszała słowa urzędnika. Był tak niesamowicie przystojny. Podczas wypowiedzania przysięgi ani na moment nie oderwała od niego wzroku. W końcu zostali sobie oficjalnie poślubieni i mogli się pocałować.

Pocałunek trwał nieco dłużej, niż nakazywała etykieta, po czym Mark porwał ją na ręce i poniósł brzegiem morza, pozostawiając grupkę gości zastygłych ze zdumienia. Suknia Ellie powiewała na wietrze.

- Mark! - wykrztusiła, gdy już doszła do siebie. - Dokąd mnie niesiesz? Przed nami jeszcze przyjęcie!

- Myślałem, że pragnęłaś zniknąć od razu po ślubie? - spytał, zwolniwszy kroku.

- Oczywiście, lecz przecież nie możemy kazać gościom czekać.

- Robię to wyłącznie dla ciebie - oznajmił, stawiając ją na piasku i całując w czubek nosa.

Zaśmiewając się, wrócili do gości, którzy powitali ich niepewnymi minami. Gdy zgromadzili się w hotelowym ogrodzie na uroczyste śniadanie, słońce wzeszło już wysoko nad horyzont. Szef kuchni przygotował wybór niezwykłych dań. Wszyscy zmieścili się przy dużym okrągłym stole, popijając szampana i gawędząc.

Gdy skończyli jeść, wygłosili toasty i pokroili tort, Kat wystąpiła z niespodzianką. Wyjęła schowaną za wielką donicą gitarę i zaśpiewała piosenkę skomponowaną specjalnie dla nowożeńców. W oczach Ellie załśniły łzy wzruszenia.

Utwór Kat był najpiękniejszym prezentem, jaki ktokolwiek mógł im ofiarować. Przygotowując się do wyjazdu w podróż poślubną, Ellie przyłapała się na nuceniu refrenu: „Moje przyszłe poranki należą do ciebie, moje przeszłe wieczory oddaję ci w darze...”.

- Dokąd wyjeżdżamy? - pytała zaciekawiona, gdy Mark prowadził ją za sobą nie przed hotel, jak się spodziewała, lecz na plażę.

- Zobaczysz - odpowiadał z tajemniczym uśmiechem.

Przy brzegu czekała na nich nieduża motorówka. Jej dziób był przewiązany wstążką jak auta nowożeńców.

- Pomyślałem sobie, że popłyniemy na bezludną wyspę, o której rozmawialiśmy, i słuch po nas zaginie - wyjaśnił, po czym znów wziął ją na ręce i zaniósł na pokład łodzi.

# ROZDZIAŁ JEDENASTY

Mark dotrzymał słowa, myślała sobie Ellie, przewracając się leniwie na łóżku. Dwa tygodnie na prywatnej tropikalnej wyspie były pasmem szczęścia. Przytuliła się do niego. Otoczył ją ramieniem i już po chwili jego oddech znów stał się cichy i regularny. Bajka.

Willa, w której mieszkali, była nieduża, ale luksusowo wyposażona. Właściciele dostarczali im codziennie świeżą żywność, lecz czynili to na tyle dyskretnie, że Ellie nie widziała ich dotąd na oczy. Nazywała ich „wrózkami od zakupów”, co szalenie bawiło Marka.

Gdybyż tylko mogli pozostać tu na zawsze... Niestety, dziś wypadał ostatni dzień pobytu. Jutro odlatywali z powrotem do Anglii. Westchnęła i mocniej wtuliła się w śpiącego Marka.

Ostatnie dwa tygodnie były jak cudowny sen i nie miała pewności, czy jest gotowa na zderzenie z szarą rzeczywistością. Na wyspie byli po prostu Markiem i Ellie, świeżo sobie poślubionymi. Żadnych etykiet ani oczekiwań społecznych, mogli zwyczajnie być sobą. Na myśl o powrocie do domu przeszywał ją dreszcz. Nieprzytomnie kochała Marka, lecz miała świadomość, że niełatwo przywyknie do roli pani Wilder.

Przez cienkie zasłony przesączało się łagodne złotawe światło. Ellie przypuszczała, że słońce stało już wysoko, pewnie była dziesiąta rano. Na potwierdzenie zaburczało jej w żołądku. Nic dziwnego! Niedojedzona kolacja stała na stole, porzucona na rzecz tradycyjnych rozrywek miodowego miesiąca.

Ellie uznała, że miło się leży w objęciach męża, ale żołądek ma swoje prawa. Wsunęła się spod jego ramienia i sięgnęła po szlafroczek. Szczęśliwie udało jej się kupić coś bardziej stosownego dla młodej żony niż jej stary różowy łach, który z pewnością nie należał do kategorii seksownej bielizny. Mark wyraził wprawdzie rozczarowanie, że go nie zapakowała, ale trudno. Narzuciła jedwabny kremowy ciuszek na grzbiet wyłącznie z obawy, że mogłaby się natknąć na „wrózki”. Wstała z łóżka, nie troszcząc się o wiązanie paska, gdy wtem została pociągnięta w tył.

- Nie odchodź... - wymamrotał zaspany głos. - Wracaj do łóżka.

- Za chwilę. Konam z głodu!

- Ja też.

- Dlaczego jestem pewna, że nie masz na myśli śniadania? - spytała rozbawiona.

Lubieżny śmiech Marka upewnił ją, że trafiła w dziesiątkę. Postanowiła, że każe mu poczekać, i poszła do kuchni. Wprawdzie nadal ciągnął ją za pasek, ale śliski jedwab wypsnął się ze szlufek i mogła się swobodnie poruszać. Wyobraziła go sobie z beużytecznym paskiem w ręce i uśmiechnęła pod nosem.

- Ellie? - zawołał z sypialni.

Nie przestając się uśmiechać, sięgnęła do lodówki po dzbanek soku pomarańczowego.

- Przepraszam, zapomniałam, co mówiłeś. Będziesz musiał chwilę zaczekać - odkrzyknęła, wielce z siebie zadowolona.

Usłyszała oczywiście skradające się kroki Marka, ale udała, że jest zajęta lodówką, i przygotowała się w duchu na jego atak. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje, Mark zarzucił na nią pasek od szlafroka i mocno pociągnął do tyłu, aż uderzyła ciałem o jego twardą klatkę piersiową.

- Powiedziałem, że masz nie odchodzić! - warknął z udawaną złością.

- Mark! Oblałam się sokiem! - Pomarańczowa strużka spływała między piersiami w kierunku pępka.

Rozluźnił nieco uchwyt, by mogła spojrzeć mu w oczy.

- W takim razie musimy cię wytrzeć, prawda? - spytał z łobuzerskim błyskiem w oku.

Ellie poddała mu się z westchnieniem, gdy zaczął ją ciągnąć za sobą do sypialni. Była pewna, że Mark nie zechce skorzystać z ręcznika.

Wyszła przed dom i zanurzyła stopy w wilgotnej od rosy trawie. Miękki zielony dywan uginał się pod nią rozkosznie. Uwielbiała wieś i gdyby nie śmierć Sama i Chloe, nadal mieszkałaby w swoim dawnym domu. Odwróciła się i spojrzała na majestatyczną rezydencję. Teraz jej dom to Larkford Place, choć szczerze mówiąc, mogłaby mieszkać nawet w przyczepie, byleby z Markiem.

Zaskoczyło ją, jak łatwy okazał się powrót do Anglii. Martwiła się, że opuszczenie karaibskiego rajy i zderzenie z szarą rzeczywistością okaże się trudne. Trzy tygodnie później nadal czuła się niepokojąco spokojna.

Podczas lotu do domu dręczyły ją niedobre przeczucia, lecz jeśli nawet w oddali czaiły się kłopoty, to na razie były dobrze ukryte.

Spojrzała na otwarte podwójne drzwi do ogrodu i zapragnęła, by przyłączył się do niej Mark. Podmuch wiatru poruszył zasłony, lecz wiedziała, że Mark się nie pojawi. Wyjechał na kilka dni w interesach i miał wrócić dopiero jutro. Mogła mu towarzyszyć, już raz tak zrobiła, ale ostatnio niezbyt dobrze się czuła, była dziwnie nie w sosie, postanowiła więc zostać w domu i naładować baterie, podczas gdy Mark będzie załatwiał swoje sprawy w Irlandii. Przebywanie we własnym domu zamiast w hotelowym pokoju, choćby i najbardziej luksusowym, wydawało się szalenie kuszące. Upiła łyk gorącej herbaty.

Fuj! Smakowała ohydnie. Pewnie mleko się skwasiło. Trzeba będzie zaparzyć nową. Podreptała do kuchni, opróżniła kubek i wstawiła wodę na nową herbatę. Czekając, aż się zagotuje, poszła sprawdzić butelkę z mlekiem. Na półeczce na drzwiach lodówki stało rzędem kilka nieotwartych butelek. Gdzie się podziała ta napoczęta? I co tu robią saszetki herbaty?

Otworzyła nową butelkę i podejrzliwie powąchała mleko. Wydawało się świeże. Nalała herbaty do kubka, doprawiła mlekiem i usiadła przy stole. Pociągnęła spory łyk, zastygła i wypluła go z powrotem do naczynia. Co jest z tą herbatą? Lepiej chyba wypić sok. Otworzyła szafkę, chcąc położyć na miejsce paczkę herbaty w saszetkach, i znalazła otwartą butelkę mleka, której bezskutecznie poszukiwała w lodówce.

Najwyraźniej poziom jej rozkojarzenia ostatnio znów się pogorszył, choć odnosiła wrażenie, że jest raczej odwrotnie. Z krzywym uśmiechem odstawiła mleko do lodówki. Nagle zastygła. To nie były jej zwykłe kłopoty z pamięcią, ale coś zupełnie nowego. Chociaż nie, już raz przeżywała coś takiego, jeszcze przed wypadkiem...

Ellie wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w lodówkę, nie czując chłodu na zarumienionej z emocji twarzy. Kiedy w końcu puściła drzwi, które zamknęły się z trzaskiem, uświadomiła sobie, że trzęsą jej się ręce. Zapomniawszy o pragnieniu, usiadła

przy stole i próbowała pozbierać myśli. Mleko, herbata, brak energii - rozproszone szczegóły nabrały nagle spoistości.

Gdy była w ciąży z Chloe, nie mogła znieść smaku herbaty ani kawy, nie wspominając już o ich zapachu. Sam musiał pić swoją kawę w ogrodzie, ponieważ dostawała mdłości. Pochłaniała natomiast olbrzymie ilości ananasa z puszki, posypanego obficie pieprzem.

Położyła dłoń na brzuchu. Wstała, po czym znowu usiadła. To niemożliwe, żeby tak szybko zaszła w ciążę!

Nie rozważała nawet takiego obrotu sprawy, choć było to wiarygodne wytłumaczenie braku energii, jaki ostatnio odczuwała. Poczła przyływ mdłości, choć raczej ze zdenerwowania niż jako poranną przypadłość ciążową. Jak to się mogło stać?

Co za głupie pytanie. W czasie podróży poślubnej spędziła więcej czasu rozebrana niż ubrana. Owszem, próbowali zachować ostrożność, ale w życiu różnie przecież bywa.

Nie była pewna, czy jest gotowa na kolejne dziecko! Życie zmieniało się teraz tak szybko, że ledwie nadążała. Najpierw musiała się przyzwyczaić do bycia mężatką, potem dopiero mogła rozważać możliwe konsekwencje tego faktu. Co powie Mark na te szokujące nowiny?

Miała nadzieję, że będzie się cieszył, co jednak, jeśli tak się nie stanie? Dotychczas w ogóle nie poruszali tego tematu, zanadto pochłonięci przygotowaniem do swojego bajkowego ślubu i niemniej cudowną podróżą poślubną. Zresztą trudno chyba oczekiwać od nowożeńców, że będą rozprawiali o rodzicielstwie?

Ellie nakazała sobie spokój i opanowanie.

Przecież nawet nie miała pewności, czy naprawdę jest w ciąży. Wiedziała jedynie, że dwukrotnie nie smakowała jej herbata i że w złym miejscu postawiła mleko. Nie należy przydawać znaczenia drobnym incydentom, jakby znamionowały wyjątkowy kryzys, prawda?

Potrząsnęła głową. Jak zwykle ponosi ją rozigrana wyobraźnia. W tej chwili potrzebuje kilku głębokich, uspokajających oddechów i gorącego prysznica. Stojąc pod kojącym strumieniem wody, nie mogła jednak wyciszyć nękającego ją głosiku z tyłu głowy.

Nie wolno ci chować głowy w piasek, Ellie, powtarzał ów głosik. Nie możesz ciągle uciekać. Lecz przecież ostatnio nie ucieka, prawda? A jeśli nawet, to do Marka, a nie od czegoś.

Wyszła spod prysznic i włożyła ubranie. Musi się upewnić. Pojedzie do lokalnej apteki i kupi test ciążowy. Tak, świetny pomysł. Poznała już większość mieszkańców, w związku z czym fakt zakupu testu rozejdzie się po wsi lotem błyskawicy. Jak dotąd, poświęcenie przez słynnego Marka Wildera swojej gosposi zajmowało pierwsze miejsce na plotkarskich listach przebojów. Dziecko w drodze stanowi zbyt łakomy kęs, by móc liczyć na dyskrecję.

Lepiej pojechać do miasta i kupić test w dużej aptece. Wtedy łatwiej zachowa anonimowość. Zanim Mark wróci do domu, ona pozna już wynik, zdoła ochłonąć i przyjmie odpowiednią strategię.

Myśl, że test może wypaść negatywnie, powinna ją uspokoić, lecz jedynie zepsuła jej humor. Pomyślała, że jeśli naprawdę wypadnie negatywnie, ujmie swoje przeżycia w anegdotę, którą opowie jutro Markowi przy kolacji. Wyjawi mu, jak bardzo się obawiała, pozna jego reakcję, przewącha temat.

Dwie godziny później stała w łazience, trzymając w dłoni opakowane w celofan pudełeczko tak ostrożnie, jakby było tykającą bombą. Do dzieła, powiedziała sobie, z samego patrzenia nic nie wyniknie.

Zdjęła opakowanie i otworzyła pudełko. Jak zwykły kawałek plastiku może się przeistoczyć w ostrą krawędź brzytwy, na której balansuje całe jej życie?

Przysiadła na klapie sedesu, trzymając test na udzie, i w napięciu czekała na wynik. Jeszcze dwie minuty. Gdyby ktoś jej powiedział, że będzie żyła jeszcze dwie minuty, wydawałoby się to ledwie okrucieństwem czasu, jakim cudem więc zdołał się on teraz rozciągnąć do niewyobrażalnych rozmiarów?

Sprawdziła okienko testowe. Bardzo dobrze, jedna niebieska kreska. Zatem test działa prawidłowo. Teraz należy poczekać na drugie okienko. Czekala chyba całą wieczność. Nic. Wstała, rzuciła test na półeczkę i płacząc, wybiegła z łazienki.

Tyle napięcia i niepokoju na próżno. Powinna chyba czuć ulgę! Zyskała trochę czasu, by pomyśleć, zaplanować, dowiedzieć się, co o tym myśli Mark.



Nagle zapragnęła, aby był przy niej. Chciała czuć dotyk obejmujących ją silnych ramion, rąk głaszczących czule jej włosy. Wyjęła chusteczkę i głośno wytarła nos. Powinna wyjść z domu, ochłonać, zaczerpnąć świeżego powietrza. Mogłaby na przykład pojechać po gazety. Mark lubił czytać niemal wszystkie, od poważnej prasy po brukowce, głównie po to, by się dowiedzieć, czy jego podopieczni budzą zainteresowanie dziennikarzy.

Wróciła do łazienki, żeby wyrzucić test do kubła, i jeszcze raz na niego spojrzała. Zszokowana, upuściła go do umywalki. Zabrakło jej tchu, łzy zamazały ostrość jej widzenia! Przetarła oczy brzegiem podkoszulki i jeszcze raz obejrzała test. Dwie niebieskie kreski.

Podeszła do okna, gdzie było znacznie jaśniej. Wzrok jej nie mylił. Owszem, druga kreska w porównaniu z pierwszą była niewyraźna, ale bez wątpienia kreski były dwie. Najwidoczniej hormony są na razie ledwie wykrywalne. Nie do wiary, ale naprawdę wszystko tam jest - niebiesko na białym, by sparafrazować znane powiedzenie.

Będę miała dziecko, pomyślała Ellie. Nasze dziecko.

Nagle stary obszerny dom wydał jej się klaustrofobicznie ciasny. Poczowała, że musi wyjść, wystawić twarz na świeży powiew wiatru. Ogród ją wzywał; zbiegła na dół i pozbyła się japonek. Zaręczynowy pierścionek na palcu lewej stopy załśnił w porannym słońcu, gdy wyruszyła na spacer po dywanie z trawy.

Letnia przechadzka po terenie Larkford Place powinna sprawić jej przyjemność. Odległe niepielegnowane partie ogrodu mieniły się barwami polnych kwiatów, nad którymi unosiły się chmary motyli i brzęczących owadów. Ellie nie zauważała tych cudów. Jej myśli pochłaniał chłopczyk o gęstych czarnych włosach jak jego ojciec i oczach koloru ciepłej czekolady.

Czy tak się właśnie czuła, gdy pierwszy raz spodziewała się dziecka? Wydawało się, że było to wieki temu, a mgła tragicznego wypadku spowiła większość wspomnień. Pierwsza ciąża została w każdym razie zaplanowana, podczas gdy ta... była niespodzianką, by łagodnie to ująć.

Przystanęła akurat przed rozkwitłym makiem, kołyszącym się lekko na wietrze. Mimo oszołomienia i wątpliwości radość buchała z niej wszystkimi porami. Pragnęła tego dziecka. Zdążyła je już pokochać, równie mocno jak kochała...

Jej umysł wypełniły obrazy złotych loków i szerokich bezzębnych uśmiechów, lecz czegoś brakowało. Jednego słowa. Dłonie, które gładziły jej brzuch, znieruchomiały. Równie mocno jak kochała...

Nie. Nie teraz. Tylko nie to imię. Tego imienia nie wolno jej zapomnieć, nie wolno go utracić. Ellie spojrzała na dom i zaczęła biec.

To wprost niemożliwe. Nie mogła przecież zapomnieć imienia własnej córeczki!

Mark wpadł do domu z wielkim bukietem zwiędłych kwiatów w ręce. Wyglądały o niebo lepiej, zanim spędziły dwie upalne godziny na siedzeniu astona martina.

- Ellie?

Nie słyszał odpowiedzi. Pewnie wyszła do ogrodu. Biegiem puścił się do kuchni. Podwójne drzwi, którymi zazwyczaj wychodziła, były zamknięte, a klamka przekreślona. Pobiegł z powrotem do holu i zawołał ją jeszcze raz, tym razem głośniejszym głosem. Echo jego okrzyku zmąciło ciszę.

Może gdzieś pojechała. Ostatecznie wrócił pół dnia wcześniej, niż zamierzał.

Spojrzał na zegarek - blisko wpół do czwartej. Nie mogła pojechać zbyt daleko. Postanowił wziąć prysznic, potem zaś położyć się i czekać. Uśmiechnął się i pokonując po dwa stopnie naraz, pognął do łazienki.

Popołudnie przeszło we wczesny wieczór, ale Ellie się nie pojawiła. Mark poszedł do kuchni z nadzieją, że żona się zmaterializuje, i nieoczekiwanie odkrył kartkę od niej, opartą o imbryk. Nie był to list, lecz nabazgrane w pośpiechu kilka słów o tym, że wyjechała.

Usiadł na krześle z twarzą ukrytą w dłoniach. Tylko nie to. Przecież po ślubie wydawała się taka szczęśliwa.

Właśnie wtedy odchodzą - kiedy są szczęśliwe, podszeptął jego głos wewnętrzny. Już cię bowiem nie potrzebują. Nie, to nie może dotyczyć Ellie. Za mocno ją kochał. O wiele bardziej niż Helenę.

Wstał. Niech go licho, jeśli pozwoli sobie na utratę drugiej żony. Gdyby jednak naprawdę chciała od niego odejść, należy mu się, do diabła, jakieś wyjaśnienie. Nie zamierzał pozwolić, żeby sobie poszła, nie rzuciwszy mu nawet spojrzenia przez ramię.

Klucze wysunęły się z jej dłoni, jakby były obdarzone własnym życiem. Mamrocząc nieskładnie przez łyzy, nachyliła się i podniosła je ze stopnia schodów. Co za szczęście, że agencja turystyczna odpowiedziała, że w ten weekend dom będzie pusty, gdyż klienci odwołali przyjazd. Może jeśli wejdzie do środka, przejaśni się jej w głowie i powróci pamięć.

Chociaż przypomniała sobie imię Chloe, gdy tylko weszła do kuchni w Larkford Place, oślizłe poczucie winy i nielojalności nie chciało jej opuścić. Musiała tu przyjechać, by znów poczuć związek ze swą przeszłością. Wsunęła klucz do zamka i jęła się z nim mocować. Dziś był szczególnie oporny, ale dał się otworzyć.

Weszła do środka i bez żadnej konkretnej przyczyny zalała się łzami. Terakotowa posadzka w holu wydawała się zarazem znajoma i obca. Na ścianach nie wisiały obrazki i fotografie, ale meble były te same. Nawet pozbawiony przedmiotów osobistych dom sprawiał wrażenie bardziej przyjaznego niż wtedy, gdy z niego wyjeżdżała tamtego deszczowego poranka.

Ellie nie planowała przyjazdu tutaj, po prostu musiała to zrobić. Był to impuls. Weszła do pokoju dziennego i usiadła w ulubionym fotelu.

Nigdy nie powinnam była porzucać tego fotela, myślała. Powinnam była tu zostać, zajadać herbatniki i nigdy nie wyjeżdżać do Larkford. Wtedy nigdy nie zapomniałabym o tobie, ukochana córeczko.

I nie miałyby kolejnego dziecka, którego tak bardzo pragnęła. Przycisnęła dłonie do brzucha, jakby chciała zapewnić iskierkę życia w łonie o swoim przywiązaniu.

Jeżeli Mark nie zechce dziecka, wychowa je samodzielnie, tak postanowiła.

Dotąd nie wyjawiała Markowi swego sekretu, nie wiedziała więc, jaka będzie jego reakcja. Popępiała ten sam błąd, co zawsze: przychodziła jej do głowy jakaś myśl, a ona rzucała się sprintem wraz z nią niczym biegaczka na olimpiadzie, nie sprawdzając nawet, czy biegnie w dobrym kierunku. Być może tak bardzo obawiała się stracić Marka, że w

głębi ducha czekała na coś, co zniszczy ich związek. Jakby nie miała wiary w swoje szczęście.

Siedzenie tu i płkanie niczego dobrego nie przyniesie. Wstała i przespacerowała się dokoła domu. Wstępowała do kolejnych pokoi, a wówczas w jej głowie pojawiały się różne wspomnienia - Chloe ciągnąca za sobą wózek z lalką, Sam poprawiający wypracowania przy stole w jadalni, blat kuchenny, na którym wyrabiała ciasto wraz z małą, a obie były całe umączone. Stary dom był pełen obrazów z przeszłości jej rodziny.

Przysiadła na kanapie, nucąc w myśli piosenkę, jaką Kat śpiewała na ich ślubie:

*Żyję dniem wczorajszym, schwyta w pułapkę przez duchy i wspomnienia.*

*Lecz nie mogę tak tkwić, z obolałym sercem, bo wzywa mnie radosne jutro.*

Ellie podejrzewała, że treść utworu odnosi się do rozstania Kat z chłopakiem, ale słowa o tym, by „nauczyć się znów kochać”, pasowały także do niej. Dobrowolnie przyrzekła Markowi, że ofiaruje mu w darze przyszłe wieczory. Nic nie zmusi jej do cofnięcia tego przyrzeczenia. Pozostaje jedno: musi wrócić do domu - tego prawdziwego, w Larkford Place - i powiadomić Marka, że zostanie ojcem. Co będzie, to będzie. Wspólnie poradzą sobie ze wszystkim.

Instynkt podpowiadał jej, że wszystko dobrze się zakończy. Miała nadzieję, że okaże się na tyle odważna, by go posłuchać.

Chwyciła klucze ze stołu i pewnym krokiem skierowała się do holu, utkwivszy spojrzenie w drzwiach wejściowych. Za matową szybką dostrzegła jakiś cień. Zawahała się, po czym podeszła bliżej. Zastygła, gdy w drzwi uderzyła czyjaś pięść.

- Ellie? Jesteś tam?

Klucze wypadły jej z ręki.

- Ellie!

- Mark? - zawołała drżącym głosem, czując, że jej wargi rozciągają się mimo woli w uśmiechu.

Podbiegła do drzwi i przycisnęła dłonie do szybki.

- Wpuść mnie albo rozwalę te drzwi! Nie żartuję!

Poklepała się po kieszeniach, a potem rozejrzała dokoła w poszukiwaniu kluczy, które, jak sobie przypomniała, gdzieś upuściła. Ręce tak jej drżały, że dopiero za trzecim razem zdołała je podnieść.

Najszybciej, jak mogła, wróciła do drzwi i włożyła klucz do zamka. Zazgrzytał nieprzyjemnie i nie dał się dalej przekręcić. Popychała drzwi i przyciągała je do siebie, delikatnie manewrowała opornym kluczem, stosując wszystkie znane sobie sztuczki, ale się nie poddał. Ponieważ ani drgnął, nie mogła go nawet wyciągnąć i spróbować ponownie.

- Ellie? Otwórz! - krzyknął niecierpliwie Mark.

- Próbuję! Klucz utkwił w zamku!

- Poczekaj, teraz moja kolej.

Naparł na drzwi ramieniem, ale nie puściły.

- Takich porządnych drzwi już nigdzie nie robią - orzekła Ellie z westchnieniem.

Mark, dysząc, nie przestawał napierać. Ellie przycisnęła twarz do matowej szybki w miejscu, gdzie szkło było przezroczyste. Sprawiał wrażenie zmęczonego, ubranie miał w nieładzie i wyglądał szalenie pociągająco. Nieoczekiwanie wybuchnęła płaczem.

- Musimy porozmawiać - powiedział. - Dlaczego jesteś tutaj zamiast w domu?

Przywarła plecami do drzwi i osunęła się na podłogę.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- Charlie mi podpowiedziała. Wcześniej byłem u twoich rodziców i brata.

Gorączkowo zastanawiała się, czemu jej pierwszym impulsem była ucieczka do starego domu. Czy to ma jakieś znaczenie?

- Czy nie sądzisz, że pobraliśmy się zbyt szybko? Może powinniśmy byli poczekać?

- Chcesz tutaj wrócić, Ellie? Naprawdę myślałem, że mnie kochasz. - Dosłyszała, że przysiadł na progu, wyciągając nogi przed siebie.

- Kocham cię - wyszeptała.

- To dobrze. Więc wróć ze mną do domu.

Stanęli naprzeciw siebie, przywarci do upartych drzwi.

- Przepraszam, Mark. Musiałam tu przyjechać, żeby powspominać Chloe. - Wiedziała, co Mark myśli: że chciała też wspomnieć Sama. - Kocham cię, Mark. Kiedy uda nam się otworzyć te głupie drzwi, pojedę z tobą do domu. - Nagle znowu się rozplakała. - Nie wiem, co się dziś ze mną dzieje - powiedziała, śmiejąc się przez łzy.

- Może to hormony?

Wzdrygnęła się, gdy przez otwór skrzynki na listy wpadł test ciążowy. Zostawiła go w umywalce, a Mark przypadkiem go znalazł.

- Kiedy zamierzałaś mi o tym powiedzieć? - zapytał chłodno. - Nie przypuszczałem, że kawałek plastiku przekaże mi wiadomość o tym, że zostałem ojcem. Mogłaś chociaż zadzwonić.

- Chciałam ci powiedzieć, ale nagle zapomniałam imienia Chloe... To mnie przeraziło. A jeśli całkiem o niej zapomnę, kiedy przyjdzie na świat nowe dziecko? Nie przeżyłabym tego. Rozumiesz mnie, prawda?

Usłyszała, że Mark coś mamrocze, a potem coraz cichsze szuranie jego kroków na żwirze.

- Mark! - krzyknęła. Nie było odpowiedzi. No tak, wreszcie go odstraszyła swoimi duchami z przeszłości. - Mark! - powtórzyła z rozpaczą, po czym z całej siły napała na drzwi. Nawet nie drgnęły.

Zaczęła w nie walić pięściami w nadziei, że ściągnie jego uwagę. Musiała mu powiedzieć, że jest pewna, iż będzie wspaniałym ojcem.

- Mark! - zaszlochała bezradnie.

Cisza. Nie było słychać kroków, nie poruszał się żaden cień. Znużonym ruchem oparła się o drzwi. Jeszcze nie wierzyła, że Mark ją opuścił.

- Nie odchodź - zawołała po raz ostatni.

- Nigdzie nie odchodzę.

Okręciła się na pięcie i ujrzała, że Mark, który wszedł tylnymi drzwiami, zmierza ku niej przez korytarz. Podeszedł blisko i zamknął ją w ramionach, po czym pocałował. Szeptał, że nie pozwoli jej zapomnieć o ukochanych, którzy odeszli, i że oboje mają przed sobą wspaniałą przyszłość. Szeptał, że marzy o dziecku, będzie mu zmieniał pie-

luszki i bawił się z nim, pełzając po podłodze. I że chciałby mu dać rodzeństwo, wychować wszystkie dzieci na porządnych ludzi, nauczyć je tylu rzeczy...

- Lecz wyłącznie z tobą u mojego boku. Czy chcesz tego, Ellie?

Ellie roześmiała się uradowana. Mark sprawiał, że wszystko wydawało się proste. To ona niepotrzebnie komplikuje.

- Tak - odrzekła po raz drugi tego miesiąca.

TLR

# EPILOG

Mark spacerował po pokoju ze swym dwutygodniowym synkiem na rękach. Miles spał spokojnym snem niemowlęcia.

- Kładzenie go do łóżeczka wymaga szalonej ostrożności. Jeden fałszywy ruch i...

- Wiem - przerwała mu. - Już mi to mówiłeś. Nastąpi wybuch gorszy niż od dynamitu.

Delikatnie położył malca i oboje z Ellie na palcach wyszli z pokoju. Dochodziła północ.

- Pora na czekoladę - powiedziała, wyjmując z lodówki napoczętą tabliczkę.

Usiedli, Mark włączył cicho radio i gawędzili, póki nie zachciało im się spać. Nagle Ellie nastawiła uszu. Grali „ich” piosenkę. Utwór od trzech tygodni zajmował pierwsze miejsce na liście przebojów.

Ellie z uśmiechem wspominała pierwszy raz, kiedy go usłyszała. Czuła niemal ciepło karaibskiego słońca na skórze, woń kwiatów hibiskusa. Oboje z Markiem zaczęli cicho nucić.

- Kocham cię - szepnęła, siadając mu na kolanach.

- Jak też cię kocham - odszepnął, całując ją w usta.

